

MANEZETTE



Historia TCB
Jak to się zaczęło...

Wywiad z Flyghtningiem
Rozmowa z twórcą muzyki fandomowej

Sekrety Wieży Zegarowej
Zdań kilka o słowie pisanym

1

12.2013

Mania #1 Fev03

Wstępniak

Hejka wszystkim czytającym ten numer! Macie przed sobą pierwszy (i mam nadzieję nie ostatni) numer magazynu MANEzette. Cóż, wyniknęła taka, a nie inna sytuacja... No, ale nie zajmujemy się przeszłością, patrzmy w przyszłość!

Przepraszam za lekki chaos w dalszej części, ale mamy tyle wspaniałych rzeczy wartych przeczytania, że nie wiem od czego zacząć...

W tym numerze przeczytacie recenzje zarówno angielskich, jak i polskich faników. Zwróćcie uwagę na to, że w tym numerze są aż dwie recenzje odcinków czwartego sezonu, które możecie przeczytać tylko u nas! Z interesujących rzeczy na pewno warte przeczytania są także wywiad z Flyghtningiem oraz pierwsza część specjalnej serii pióra Albericha, w której przeczytacie o paru poradach i sztuczkach, które pomogą Wam w rozwijaniu się jako pisarze faników i nie tylko.

Dla lubiących czytać opowiadania mamy publikację konkursowego fika autorstwa Hoffmanna Siewczyni Niezgody. Dodatkowo mamy przyjemność zaprezentować Wam rubryki niekoniecznie związane z kucykami, czyli działą Felietony i Inne. W drugim z nich możecie przeczytać m.in. recenzję nowej książki Andrzeja Sapkowskiego, osadzoną w uniwersum Wiedźmina!

Niestety, w tej beczce miodu jest i malutka łyżeczka dziegciu - z przyczyn od nas niezależnych nie udało się nam zamieścić w tym numerze działą Wieści ze świata (m.in. z tego powodu, że niemiecki serwer, na którym postawiona jest cała strona everypony.ru, został wyłączony i wg informacji z Twittera wróci ona w terminie do 14 grudnia), ale będziecie mogli się spodziewać ich już w następnym wydaniu.

Na końcu chciałbym podziękować całej piątce ludzi, która razem ze mną stworzyła MANEzette, to jest (kolejność alfabetyczna): Bafflingowi, Dolarowi84, Gandzi, Myhellowi i Verlaxowi, a także nowo przyjętym: Gorgonowi i Irwinowi. Nie można też zapomnieć o DTPowcu, macterze4, technicznym Vivendiusie Decadedzie, a zwłaszcza o fenomenalnych grafikach, autorstwa MoonlightFL, która również zgodziła się, by jej OC została maskotką naszego magazynu.

Na koniec mam dla Was wszystkich taki fajny cytat (chyba znacie albo niedługo poznacie moje umiłowanie do wstawiania przynajmniej jednego cytatu w danym tekście). Zatem:

Życie przypomina pasiasty strój więźnia - jeśli dzisiaj miałeś pecha, jutro nadejdzie sukces.

I tym optymistycznym zdaniem z książki Siergieja Łukjanienki kończę i zapraszam do lektury.

solaris

Redaktor Naczelny MANEzette

Redakcja

Redaktor naczelny:

solaris

Zastępca:

Verlax

Redaktorzy:

Myhell, Dolar84, Irwin, Gorgon

Korektorzy:

Gandzia, Baffling

Grafika:

MoonlightFL

Techniczny:

Vivendius Decaded

Skład:

Macter4

Strona WWW:

manezette.pl

Facebook:

www.facebook.com/pages/
MANEzette/589585627776043

Spis Treści

RECENZJE FANFIKÓW

Five hundred little murders.....	4
Sweetie Brick.....	6
The Rise and Fall of one R. Dash.....	7
Anno Equestria: A Brief History of the Pony Nation.....	9
Fallout Equestria: Pink Eyes.....	10

WIEŚCI Z PISARSKIEJ MANU- FAKTURY

Wieści z Pisarskiej Manufaktury- zapo- wiedź.....	12
Muzyka na cztery kopyta.....	13
Kanclerz.....	14

PUBLICYSTYKA

Top 10 opowiadań według Verlaxa...	15
Historia TCB - część 1.....	18
Wywiad z Flyghtningiem.....	21
Sekrety Wieży Zegarowej.....	24
Przegląd muzyki fandomowej.....	27
Recenzja podwójnego odcinka „Princess Twilight Sparkle”.....	30
Castle mane-ia.....	33

FELIETONY

Quo Vadis Europo?.....	35
Egzystencja Twicane.....	36

POZOSTAŁE

Recenzja- Wiedźmin: Sezon Burz.....	37
Turbo - “Piąty żywioł”.....	39
Admirał, czyli wybielanie białego po rosyjsku.....	41

FANFIK

Siewczyni niezgody.....	43
-------------------------	----

ARTYSTYCZNY MIX

Komiksy.....	45
--------------	----



Five hundred little murders

Autorka: Estee
[Sad], [Slice of Life]

Jak dobrze wiemy, w Equestrii oprócz kucyków pojawiają się również ich pupile.

Dolar84

Czasami naszą niepodzielną uwagę przyciągnie bezzębny aligator o wzroku myślą niezmaconym, innym razem uśmiechniemy się, widząc powietrzne akrobacje wykonywane przez żółwia. Naturalnie również małe ssaki mają swoje miejsce w tym świecie – zawsze wierna Winona, powalająca charakterkiem Opalescence czy niepokonany Angel zwany czasami królikiem zagłady. Czy zastanawialiście się jednak, co się dzieje, kiedy któryś ze zwierzaków zostaje dotknięty nieuleczalną chorobą? „Five hundred little murders” daje nam odpowiedź na to pytanie, na dodatek opakowaną w absolutnie doskonały tekst.

Główną bohaterką opowiadania jest Flitter, która zostaje obdarzona przez autorkę naprawdę paskudnym charakterem. Jej brutalnie szczere, pozbawione choćby elementarnej uprzejmości komentarze dotyczące się innych kucyków mogą bez problemu sprawić, iż raz po raz przy lekturze

zmarszczymy brwi z głęboką dezaprobatą. Myślicie, że jest to cecha, z którą nasza pegaz stara się walczyć? Nic bardziej mylnego! Ona jest z niej dumna. Z pojawiających się co jakiś czas zdań można łatwo wywnioskować, iż jest to osoba, która nigdzie nie zagrzewa miejsca na dłużej. Wiadomo jednak, że kucyki wykazują upodobanie do przyjaźni i miłości, więc nawet tak aspołeczne indywiduum ma kogoś, kogo obdarza bezwarunkowym uczuciem – swoją kotkę, Carnie. Wybór takiego, a nie innego zwierzaka również mówi sporo o charakterze głównej bohaterki – wszak kucyki, stworzenia z zasady roślinożerne, muszą czuć się odrobinę nieswojo w obecności choćby niewielkich, niemogących im zagrozić mięsożerców. Nic dziwnego więc, iż przy istocie tak doskonale przystosowanej do polowania jak przedstawicielka rodziny kotowatych ich reakcje są nerwowe, a poczucie spokoju ulega poważnemu zachwianiu. Cóż jednak Flitter może zrobić, kiedy jej wy-

pieszczona pupilka zaczyna chorować, a kucyk zastępujący przebywającego na wyjeździe weterynarza okazuje się niedouczonym imbecylem? Nie pozostaje jej nic innego jak udać się do osoby, którą pogardza jak nikim innym na świecie – Fluttershy. Co się wydarzyło później? To już będziecie musieli odkryć sami.

To opowiadanie było... hmm, przyznaję, że trudno znaleźć mi słowa, które w pełni oddawałyby to, co czuję po jego lekturze. Widząc jego oznaczenia, wiedziałem, że nie mogę się spodziewać wiele radości, jednak atmosfera wszechobecnej złośliwości i późniejszego przygnębienia naprawdę trafia czytelnika prosto w serce. Naturalnie jest to zaleta, a nie wada tego tekstu, w którym Estee pokazała, że balansowanie na uczuciach czytelników jest czymś, na czym naprawdę się zna. O! W końcu dotarło do mnie określenie, jakim chciałbym uraczyć „Five hundred little murders” – zawarta w nim historia jest taka

„brzydka prawdziwa”. Na dodatek opowiadanie jest głębokie i skłania do przemyśleń oraz refleksji. Nie byłbym zdziwiony, gdybym dowiedział się, że niektórzy po lekturze usiedli w wygodnym fotelu i w zadumie zajęli się kontemplowaniem własnej śmiertelności.

Przejdźmy teraz do spraw nieco bardziej technicznych. Mamy tutaj około dwudziestu stron tekstu napisanego przyjaznym i stosunkowo prostym językiem. Uważam, że osoba średnio władająca angielskim przy odpowiednim skupieniu byłaby w stanie przegryźć się przez zawartość

i zrozumieć praktycznie wszystko, co autorka chciała nam przekazać. Niech nikogo nie zmyli tytuł – nie znajdziemy tutaj przemocy i krwawych scen, chociaż nieco wzdragam się przed polecaniem tego opowiadania młodszemu czytelnikom, jednak jeżeli mają ochotę się z nim zmierzyć, to żadne niestosowne fragmenty nie staną im na przeszkodzie.

Na zakończenie chciałbym napisać, iż jest to jeden z lepszych tekstów z tagami Sad i Slice of Life, jakie zdarzyło mi się czytać. Głęboki, nietypowy, przepiękny miłością do ukochanych pupili, a przy tym wciągający i na tyle

krótki, że da się go przeczytać podczas spożywania popołudniowej herbaty. Szczerze mówiąc, nie znalazłem w nim wad, dlatego bez wahania przyznaję ocenę 10/10.



Sweetie Brick

Autor: Shortskirtsandexplosions
[Comedy], [Random]

Powszechnie wiadomo, iż Sweetie Belle jest słownikiem. Cóż powiecie jednak na inne zastosowania tej uroczej klaczki w gospodarstwie domowym?

Dolar84

Czy przyszło Wam kiedykolwiek do głowy, iż można jej użyć w roli klimatyzatora, nawilzacza, gaśnicy, poduszki czy (o zgrozo!) temperówki? Właśnie te i inne przykłady na wykorzystanie młodszej siostry Rarity prezentuje nam niezatapialny Shortskirtsandexplosions w opowiadaniu „Sweetie Brick”.

Co można napisać o samej fabule? Praktycznie mamy tu do czynienia z dziesięcioma krótkimi opowiadkami, z których każda, niepołączona z pozostałymi, prezentuje nam odmienną czynność, jaką można wykonać przy pomocy Sweetie Belle. Lojalnie uprzedzam, iż lektura tego tekstu może doprowadzić do krytycznych uszkodzeń przepony. Istnieje nawet możliwość oddania ducha ze śmiechu. Nie spodziewajcie się jednak samej komedii – co to, to nie. Poziom absurdu występujący w tym opowiadaniu jest tak wielki, że do jego zmierzenia należałoby użyć skali galaktycznej. Podczas lektury warto się czasem oderwać od monitora i rozejrzeć wokół sie-

bie w celu sprawdzenia, czy otaczający nas świat nie zmienił się nagle w coś innego i skrajnie odmiennego od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Tak, tak, moi drodzy – ten fanfik posiada tag [Random] absolutnie niebezpiecznie.

Co do użytego języka, to stwierdzam, że jest na standardowym poziomie stosowanym przez tego autora – czyli niebotycznie wysokim. Co prawda nie mamy tu do czynienia z soczystymi, zapierającymi dech w piersiach opisami, ale i tak można się natknąć na słowa, które wymagają chwili zastanowienia, zanim pogrążymy się w dalszej lekturze. Co do występujących scen, to niektóre z nich są... dyskusyjne. Naturalnie nie znajdziemy tam elementów gore czy clop, jednak poczucie humoru autora można określić mianem... specyficznego i nie każdy może czuć się komfortowo, czytając niektóre z zastosowań Sweetie Belle (ręczona temperówka). Dlatego tekst polecałbym raczej nieco starszym czytelnikom, którzy będą w stanie w pełni do-

cenic to, co Shortskirtsandexplosions zdecydował się udostępnić szerokiej publiczności. Czy istnieje polska wersja tego opowiadania? Niestety się z nią nie spotkałem, ale ptaszki ćwierkają, iż autor otrzymał już prośbę o zezwolenie na bezzwłoczny przekład swojego wyrafinowanego studium absurdu na naszą mowę ojczystą i co najważniejsze udzielił rzeczonożnego zezwolenia, tak więc tłumaczenie pojawi się... niedługo.

Pora na wnioski końcowe. Nieco ponad cztery tysiące słów absolutnej doskonałości z pewnością umiłą ten kwadransik, który należy przeznaczyć na zapoznanie się z tekstem. Zapewniam Was, że nie będzie to czas stracony, chociaż otrząśnięcie się z poczucia surrealizmu może już zająć nieco więcej czasu. Podejrzewam, że znaczne grono czytelników po zakończonej lekturze może poczuć silne powinowactwo do pewnego zaprzeczającego borsuka znanego w większej części Internetu. Ocena końcowa? Naturalnie 10/10.

The Rise and Fall of one R. Dash

Autor: ChaoticHarmony

[Sad]

Czy posiadacie marzenie? Takie jedno, najważniejsze marzenie, którego spełnienie jest dla Was naprawdę ważne?

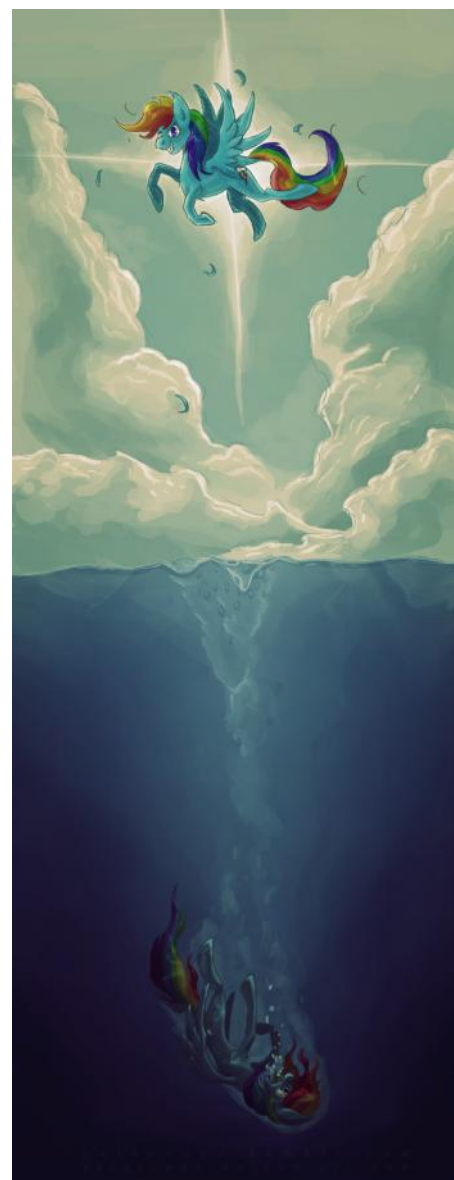
Dolar84

A jeżeli, drodzy czytelnicy, należycie do osób, które twardo stąpają po ziemi i nie chcą zaprzętać sobie głowy mrzonkami, to z pewnością wyznaczyliście sobie cel do którego uparcie dążycie. Cóż jednak, jeżeli okaże się, iż rzeczony cel stał się niemożliwy do zrealizowania? Lub co gorsza okaże się, że nie wszystko poszło po naszej myśli i ponieśliśmy porażkę? Czasami takie przejścia mogą popchnąć nawet najsilniejszych do... nieprzemyślanych decyzji. Czy można jakoś temu zaradzić? To jedno z pytań, które nasuwają się na myśl przy lekturze „The Raise and Fall of one R. Dash”.

Opowiadanie zaczyna się według najlepszego przepisu niejakiego Alfreda Hitchcocka – od metaforycznego trzęsienia ziemi, a następnie napięcie jedynie rośnie. Autor płynnie przeskakuje pomiędzy terażniejszymi wydarzeniami a retrospekcjami, które powolutku odsłaniają nam kolejne motywy działania Rainbow Dash.

Z jednej strony widzimy ją w stanie, nazwijmy to wprost – codziennym. Jak zwykle zdaje się być niepokonana, wszechmocna i odporna na wszelkie przeciwności losu. Prawdziwym smaczkiem są jednak pozostałe fragmenty, gdzie poznajemy inne oblicze bohaterki, które dotychczas pozostawało ukryte pod maską brawury i pewności siebie. Kolejne wydarzenia następują szybko po sobie i zmierzają do punktu kulminacyjnego... czyli ujawnienia okoliczności, które pchnęły ją do zrobienia tego, co zrobiła. Niestety, wredny recenzent nie poczuwa się do obowiązku ujawnienia Wam tej informacji – musicie doczytać sami.

Tekst, z którym miałem do czynienia wywołuje uczucia smutku, przygnębienia i... niechęci. To ostatnie może wydawać się dziwne, jednak nawet gdybym chciał, nie potrafię wykrzesać z siebie współczucia dla Rainbow Dash. Wynika to jednak z osobistych uprzedzeń, a nie jakości samego



fanika – ten został napisany naprawdę znakomicie. Emocje są wyraźnie zarysowane, a kreacja bohaterki jest bardzo dobra. Również jej pojawiające się niejako epizodycznie przyjaciółki zostały zobrazowane doskonale – widać, że choć ich rola jest wyraźnie drugoplanowa, to każde ich słowo czy zachowanie zostało dogłębnie przemyślane przez autora. Opowiadanie nie jest napisane przesadnie skomplikowanym językiem i myślę, iż Ci, którzy mają opanowany angielski na średnim poziomie, spokojnie dadzą sobie radę z jego pełnym zrozumieniem. Również brak wszelkiego rodzaju kontrowersyjnych czy krwawych scen sprawia, że może po nie sięgnąć właściwie każdy, jednak nie każdemu byłbym gotów to zaproponować. Jeżeli

potencjalny czytelnik ma kiepski nastrój, to zdecydowanie zalecałbym odłożenie opowiadania na inny czas. Tak na wszelki wypadek. Co z tymi, którzy nie znają angielskiego? Cóż... niestety nic nie wiem o jakichkolwiek planach jego przekładu i szczerze mówiąc żałuję – fanfik nie ma zbyt wielu czytelników, a zdecydowanie zasługuje na to, by zapoznała się z nim szersza publika. Miejmy nadzieję, że ktoś zdecyduje się go przetłumaczyć.

Kończąc recenzję muszę przyznać, że jestem nieco... rozdarty. Z jednej strony zachwycam się kunsztem, z jakim autor przedstawił całą sytuację, a z drugiej nie znajduję u siebie nawet cienia sympatii w stosunku do głównej bohaterki. Mimo wszystko zdecy-

dowanie je polecam, a że z niewiadomych przyczyn nie zyskało tak dużej popularności, na jaką w moim mniemaniu zasługuje, to naprawdę warto to zmienić. Nie jest zbyt długie – niecałe dziesięć stron tekstu – więc pół godziny zdecydowanie wystarczy, żeby się z nim zapoznać. Ocena końcowa? Po długich rozważaniach decyduję się na mocne 8/10.



Anno Equestria: A Brief History of the Pony Nation

Autor: Insert Pen Name

[Slice of Life]



Czy nie zastanawiało Was nigdy, jak wyglądała historia Equestrii przed pojawieniem się niepokonanej szóstki bohaterek?

Dolar84

Naturalnie dysponowaliśmy strzępkami wiedzy, jednak dotyczyły one niemal wyłącznie wydarzeń fundamentalnych, takich jak założenie państwa czy panowanie Discorda. Co jednak ze zwykłą, codzienną historią? Jeżeli to Was interesuje, to z całą pewnością polubicie „Anno Equestria: A Brief History of the Pony Nation”.

Recenzowane opowiadanie jest tworem dosyć specyficznym. Autor wcielił się w rolę dziejopisa, który przeprowadza nas przez koleje losu narodu kucyków od założenia Equestrii aż po czasy obecne. Można powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze swego rodzaju kroniką, czy wręcz podręcznikiem do historii. Każdy rozdział opisuje pewien odcinek czasu i koncentruje się na najważniejszych wydarzeniach, które wtedy miały miejsce. Zostajemy przytłoczeni liczbą dat, nazwisk i wydarzeń, które krok po kroku odsłaniają przed nami dzieje czasów minionych.

Niech ten opis Was nie przerazi. Wbrew temu, co napisałem o „podręczniku do historii”, autor

stara się, by lektura jego fanfika była przyjemnością. Znajdujemy w nim masę nawiązań do postaci historycznych, istniejących w naszym świecie, a niektóre humorystyczne wstawki (zwłaszcza w przypisach) dosłownie powalają na kolana. Wszystko to opakowane jest w lekki i przyjemny język, chociaż do wyłapania niektórych nawiązań potrzebna jest znajomość idiomów lub wydarzeń historycznych, które są ważne głównie dla kultur anglosaskich. Co do występujących postaci, to częściowe zastosowanie ma tu stary dowcip z wypożyczeniem książki telefonicznej („No wie pani... fabuła taka sobie, ale za to ilu bohaterów!”). Chociaż znaczących dla historii Equestrii postaci jest tu wiele, to każda z nich została przemyślana. Miło mi stwierdzić, że autor żadnej sceny nie pisał na przysłowiowe „odwal się”. Równie ważny jest fakt, iż widać wyraźne rozgraniczenie między faktami, które znamy z serialu (choć po obejrzeniu pierwszego odcinka czwartego sezonu niektóre się... zdezaktualizowały), a wyobraźnią piszącego. Oczywiście występują również opisy konfliktów, lecz

w żadnym z nich nie znajdziemy scen, które zawierałyby dużą dawkę brutalności. Można wręcz stwierdzić, że dostajemy same suche fakty, jednak sposób ich podania jest tak dobry, że z zapałem sięgamy po kolejny z króciutkich rozdziałów. Dla tych, którzy języka cywilizowanych wyspiarzy i barbarzyńskich kolonistów z zachodu nie rozumieją, też mam dobre wieści. Prace nad przetłumaczeniem fanfika trwają i na dodatek są bliskie ukończenia, więc i Wy będziecie mogli zapoznać się z historią kraju naszych ulubionych bohaterów.

Opowiadanie nie należy do najdłuższych. Nieco ponad dwadzieścia tysięcy słów, rozbitych na dodatek na bardzo krótkie rozdziały. To znaczące ułatwienie dla wszystkich, którzy muszą czytać z doskoku – lektura jednego zajmuje najwyżej pięć minut. Jedyne zastrzeżenie, jakie znajduję, to fakt, że fanfik jest za krótki. Taką historię można było rozciągnąć na znacznie więcej rozdziałów. Pomijając jednak ten fakt, mamy tu do czynienia z naprawdę wyśmienitym tekstem. Ocena końcowa? Mocne 8/10.

EQUESTRIA
Pink Eyes

Fallout Equestria: Pink Eyes

Autor: Mimezinga

[Dark], [Crossover], [Adventure]

Podejrzewam, że wielu członków fandomu czytało opowiadanie Fallout: Equestria, a słyszał o nim prawdopodobnie każdy. Nie wiem, czy pisząca go Kkat spodziewała się takiego wysypu najróżniejszych spin-offów.

Dolar84

Są wśród nich teksty lepsze, zdarzają się i gorsze. Osoba... wyjątkowo mocno zaangażowana w to szczególnie Ponywersum wymieniła mi kiedyś tak zwaną Wielką Piątkę: Oryginał, Project Horizons, Murky Number Seven, Heroes oraz Pink Eyes. Dzisiaj chciałbym rzucić na żer czytelnikom recenzję tego ostatniego fanfika.

Od czego by zacząć? Cóż, mamy tu do czynienia ze wspaniałym zastosowaniem zasady starego Alfreda Hitchcocka – zaczyna się od trzęsienia ziemi (metaforycznego), a później zaczyna się robić naprawdę interesująco. Sam początek spędzamy w Canterlot, które jest akurat celem potężnego ataku. Niemal natychmiast przychodzi nam się zapoznać z główną bohaterką tego opowiadania. I tu niespodzianka. Nie jest to wysoce sprytna klacz, uzdolniona w kwestiach naprawy urządzeń elektronicznych; niezbyt cwana, za to nieustępliwa i dobrze wyszkolona w sztuce demontażu bliźnich

wszelkimi dostępnymi środkami członkini ochrony Stajni, czy nawet niewolnik. Nie, nie, moi drodzy. Kucyk, z którym przyjdzie nam przemierzać Pustkowie, jest... źrebięciem. Dokładniej kilkuletnią klaczką o wdzięcznym imieniu Puppysmiles.

Nie wątpię, iż w tym momencie niejedna osoba z niedowierzaniem zmarszczyła brwi. Klaczka? Na Pustkowie? Przecież ona ma przewidywalną długość życia taką jak bałwan w piekle! W normalnych okolicznościach zgodziłbym się z taką opinią, jednak nasza Puppysmiles ma po swojej stronie kilka atutów. Po pierwsze – jest martwa. Skąd te zdziwione spojrzenia? Myślicie, że po dwustuletniej drzemce ktokolwiek mógłby obudzić się jako żywa (w normalnym tego słowa znaczeniu) istota? Obeznany w temacie tych fanfików czy też gier wyjaśnienie nasuwa się samo – ghou! Czy jest poprawne?

Pozwólcie, że to akurat pozostawię ukryte za zasłoną tajemnicy. Nadal jednak nie rozwiązuje to kwestii długotrwałego przeżycia. Ale, ale! Puppysmiles ma kolejny atut po swojej stronie – pełny strój środowiskowy mający zapewnić przeżycie, a na dodatek wyposażony w kilka wyjątkowo ciekawych i ułatwiających życie funkcji – ot, choćby możliwość lewitacji pobliskich przedmiotów, czy nadal działający program wspomagający.

No dobrze... czyli bohaterka jest martwa i ubrana w fikuśny strój. Jak ma to jej pomóc, skoro w chwili „śmierci” dysponowała



zaledwie kilkuletnim doświadczeniem? Jeżeli sądzicie, iż pod wpływem mutacji stała się super-inteligentna, super-silna i inne tego typu sprawy, to uprzejmie radzę zejść na ziemię. Mamy tu do czynienia z istotą o charakterze i podejściu dziecka. Radosnego, naiwnego, ciekawskiego i absolutnie niepowstrzymanego dziecka. Dlaczego dodałem to ostatnie określenie? Cóż... czego może pragnąć młoda klaczka, która obudziła się w ruinach i jest całkiem sama? Tak naprawdę nasuwa się tylko jedna możliwa odpowiedź – ona chce do mamy, rusza więc natychmiast na poszukiwania, wspomagana przez wspomniany wcześniej program, który będąc do bólu precyzyjnym, stara się pomagać Puppysmiles, korzystając z żelaznej, bezdusznej logiki. Sami sobie wyobraźcie, jak dobrze to zadziała, zastosowane w przypadku dziecka...

Dopiero pisząc powyższe akapity, zorientowałem się, jak trudno przekazać niezbędne informacje z tego ponyversum, które nie zawierałyby zbyt wielkich spoilerów.



Hołubiąc nadzieję, iż ta sztuka mi się udała, przechodzę dalej. Opowiadanie jest absolutnie fantastyczne. Zaczynając lekturę, robiłem to niejako z obowiązku – w końcu wchodzi w skład Wielkiej Piątki. Wystarczyło kilkanaście zdań, żebym całkowicie zatonął w jego treści i już nie zdołałem się uwolnić. Tekst napisany jest szalenie interesująco, zawiera dużą dawkę humoru, a odwzorowanie przez twórcę zachowania i sposobu mówienia dziecka zasługuje na szczerzy podziw. Wymyślone przygody nie są przesadzone – nie oczekujcie, że Puppysmiles sięgnie po wyrzutnię plazmy i zmiecie w pył połowę żyjących na Pustkowie bandytów. Bohaterka została wyposażona lub zdobywa wiele... ciekawych umiejętności (a opisy uzyskiwania kolejnych „perków” to absolutna rewelacja i krytyczne zagrożenie śmiercią ze śmiechu), ale tym, co naprawdę ją napędza to najzwyczajniejsza tęsknota za mamą. Oczywiście, jak to w Falloutcie bywa, na jej drodze pojawiają się bardziej lub mniej przyjazne istoty lub towarzysze. Pozwólcie, iż nie zdradzę Wam, jak klaczka radzi sobie z tymi gorzej do niej nastawionymi – to po prostu trzeba odkryć samemu. Powiem tylko tyle, iż użyty w pewnym miejscu sponifikowany cytat z dzieła słynnego angielskiego dramtopisarza pasuje wprost idealnie "Dmij wietrze zagłady i spuść ze smyczy źrebaki wojny!".

Przejdźmy do innych aspektów tegoż opowiadania. Język użyty do jego napisania nie jest zbyt skomplikowany, ale bardzo łatwym też bym go nie nazwał. Naturalnie żeby w pełni pojąć

wszystko, co się dzieje, warto znać nieco żargonu stosowanego w innych opowiadaniach z tego cyklu. Znajomość wydarzeń z oryginalnego Fallout: Equestria również byłaby mile widziana. W sumie tym, co może sprawiać czasami większą trudność, to wypowiedzi głównej bohaterki napisane w „dziecięcym” języku z częstym przekręcaniem trudniejszych (i zwykle kluczowych) wyrazów. Czy ktoś ma zamiar przetłumaczyć to opowiadanie? Tego niestety nie wiem, ale potencjalnym śmiałkom zalecam dużo cierpliwości oraz poręczne wiaderko aspiryny, które przyda się gdy będą tłukli głową w mur, zastanawiając się jak przełożyć kolejną grę słowną. Już choćby pierwsza, wynikająca z niezrozumienia na linii Puppysmiles-program wspomagający, jest wyjątkowo... kłopotliwa w dobrym przekładzie (chodzi o „mom – MoM”, ten, kto czytał, na pewno wie, o co chodzi).

Czy opowiadanie może czytać każdy? Szczerze mówiąc, przez występujące w nim sceny dosyć mocnej przemocy (jak to Fallout) zdecydowanie zalecałbym je nieco starszym czytelnikom.

Absolutnie nie dziwi mnie fakt, że ten fanfik znalazł się w Wielkiej Piątce. Jest interesujący, nietypowy, zabawny i jednocześnie poważny, a przede wszystkim wciąga niczym przysłowiowe bagno. Jak na standardy opowiadań z tego ponyversum jest również stosunkowo krótki – przy odrobieniu samozaparcia można go przeczytać w dwa-trzy dni. W każdym razie ode mnie otrzymuje całkowicie zasłużoną ocenę 9/10.

Wieści z Pisarskiej Manufaktury

Mam zaszczyt przedstawić Wam nowy dział, w którym opisywane będą opowiadania jeszcze niedokończone lub porzucone przez swych autorów. Mam nadzieję, że zachęcili ich to do dalszej, wytężonej pracy, zaś Was do zapoznania się z ich twórczością.

Gandzia

Equestria
wonderful tales

Muzyka na cztery kopyta

[comedy] [slice of life]

Autor: Frey

Nie skłamię jeśli powiem, że każdy z nas uwielbia muzykę? Mam rację? Połączmy świat muzyki, którą kochamy z jednym z naszych ulubionych seriali.

Drq

Dwójka backgroundowych kucyków. Nieco porywczy i szalony jednorozec oraz jej nowa przyjaciółka, stonowana i spokojna kłaczkowa kucyka ziemskiego. Tak, Vinyl Scratch i Octavia. To właśnie o tej dwójce opowiada „Muzyka na cztery kopyta”.

Opowiadanie w chwili pisania tego tekstu to jedynie pierwszy rozdział, wstęp i załączek całej historii która, jak określa sam autor, będzie najbardziej zwariowanym wydarzeniem w ich życiu. Czemu więc tak mały kawałek tekstu przykuł moją uwagę? Już wyjaśniam: od pierwszych zdań opowiadanie wprowadza nas w swój klimat, jasno określa, w jakim świecie będzie działać się cała akcja. Początkowa finezja w opisie prowadzonej przez Vinyl imprezy wystarczyła, bym wsiąknął w tekst bez reszty. Autor doskonale poradził sobie ze zbudowaniem klimatu miejsca. Nie skłamię, jeśli napiszę, że poczułem się zupełnie jakbym znalazł się między tymi kucykami. Dalej twórca odkrywa

przed nami pewne aspekty życia znanej i cenionej DJ, jednak nie mogę ich zdradzić za wiele, zepsułoby to wam zabawę w ich odkrywaniu, prawda?

Na uwagę zasługuje świetne przedstawienie postaci. Dwójka muzyków nie posiada kwestii mówionych w serialu, więc nie mamy nawet skrawka informacji o tym, jakie one są prywatnie. Autor zaproponował swoje kreacje tych kucyków. Z miejsca przypadły mi one do gustu. Vinyl jest niebojącą się niczego, umiejącą wyrażać swoje zdanie kłaczką, zaś Octavia jest tą ułożoną, choć też potrafi pokazać pazur. W tekście te dwie postacie pasują do siebie idealnie, mimo iż występują razem przez niewielki jego fragment. Jak to potoczy się dalej?

Kolejną rzeczą, która przypadła mi do gustu, jest klimat. Mimo iż tekstu jest niewiele, jest on tutaj zbudowany naprawdę przyzwoicie i co najważniejsze – wciąga. Czytając, przeskakujemy z miejsca na miejsce: z sali pełnej bawiących się

kucyków do domu przyjaciółki Vinyl, by potem zawitać do jedynej z knajp Canterlot. Każde z tych miejsc jest na swój sposób charakterystyczne i składowo opisane. Każde z nich ma też swoje smaczki, coś, co wprawia mnie w zachwyt. Ot, zwykłe napomknięcie o kucyku mierzącym się z butelką Wonderbolsa, czy irytacja przyjaciół z powodu użycia ich prawdziwych imion, których nie znoszą. To wydają się być nic niezauważalne pierdółki, jednak diabeł tkwi w szczegółach.

Reasumując. Niestety, na chwilę obecną opowiadania mamy niewiele, więc i sama zapowiedź jest krótka. Pozostaje mieć nadzieję, że autor utrzyma wysoki poziom zaprezentowany w pierwszym rozdziale. Zachęcam każdego melomana do zapoznania się z tym tekstem. Spotkacie tam świetnie wykreowane twórczynie tak różnych gatunków muzyki, zobaczycie zderzenie dwóch zupełnie odmiennych światów. Jak to się skończy? Przekonamy się.



Kanclerz

Autor: Marquise Fancypants di Coroni
[Political], [Violence]

Co prawda zwykle wzdragam się przed recenzowaniem niedokończonych opowiadań, jednak czasami trafi się tekst, o którym po prostu trzeba wspomnieć.

Dolar84

Jako iż nasze „Wieści z Pisarskiej Manufaktury” dają taką możliwość, to chciałbym przedstawić Wam doskonałe w swej formie i treści opowiadanie „Kanclerz”.

Z czym przyjdzie nam się spotkać podczas lektury? W dotychczas napisanych czterech rozdziałach (dzielonych na mniejsze kęsy tekstu) autor był łaskaw przedstawić nam życie i środowisko equestriańskiej arystokracji. Oczywiście choć ich poczynania byłyby niezmiernie interesujące w czasach pokoju, to powszechnie wiadomo, iż rzucenie bohaterów w nieco mniej spokojny okres daje o wiele większe pole manewru dla przedstawienia różnych zachowań. Mamy więc spiski, intrygi, działania zbrojne, a nawet przypadki zdrady. W szczegóły wdawać się nie będę, żeby nie odbierać Wam przyjemności z samodzielnego poznawania perypetii arystokratów różnej maści.

Na uwagę zasługuje fakt, iż Szanowny Markiz bardzo umiejęt-

nie połączył samodzielnie wykreowanych bohaterów z dobrze znanymi nam postaciami, występującymi w serialu. W ich wzajemnych interakcjach nie ma sztuczności, stwierdziłbym wręcz, iż doskonale się uzupełniają. A role przypisane niektórym postaciom kanonicznym? Istna uczta dla oczu – szczególnie uwagę polecam zwrócić na niejakiego Iron Willa, którego pojawienie się i działania zostały przedstawione na poziomie mistrzowskim.

Co do użytego w tekście języka, to nie można mu nic zarzucić. Zarówno gdy rozbrzmiewa mowa wysoko urodzonych, jak i gdy słyszemy pokrzykiwania plebejuszy, mamy wrażenie, że wszystko znajduje się na swoim miejscu i jest dokładnie takie jak być powinno. Naturalnie nie ma róży bez kolców, więc pozostając w zgodzie z tym powiedzeniem, muszę się do czegoś przyczepić – w tym wypadku tłumaczenia nazw, które były dla mnie niczym zgrzyt na strunach wygrywającej cudowną symfonię harfy. No ale to już kwe-

stia gustu.

Nie sposób nie wspomnieć o pojawiających się w tekście nawiązaniach do różnych klasycznych dzieł literatury światowej. Wyszukiwanie ich to naprawdę doskonała rozrywka, niosąca przy tym potężną dawkę wiedzy. Autor bezbłędnie wywiązał się z hasła, które zawsze powinno towarzyszyć słowu pisarstwu: „Bawiąc – Uczyć”. Naturalnie wnikliwy czytelnik rozpozna również odniesienia do wydarzeń historycznych, które w przeszłości wstrząsały naszym światem.

Podsumowując, mamy tu do czynienia z naprawdę niebagatelnym opowiadaniem, należy więc autora dopingować i zachęcać, by był łaskaw uraczyć nas kolejnym świetnym rozdziałem. I nie zapomnijcie o zostawieniu komentarza po lekturze! Mało jest rzeczy, które sprawiają autorowi równą radość. Bezwzględnie polecam!

Top 10 opowiadań według Verlaxa



Moja kariera z fandomem brony znacznie dłużej była związana z FimFiction i częścią angielską niż z polską.

Verlax

Jako uważny obserwator literatury, chciałbym się móc teraz podzielić z Państwem moim wysoce subiektywnym Top 10 najlepszych dzieł fandomu.

1. Austraeoh



Autor : Imploding Colon

Jedno z najdłuższych opowiadań fandomu, legendarna seria opiewająca losy Rainbow Dash w jej ostatniej, epickiej podróży na wschód. Doskonale zarysowane postacie, opisy przyrody, komedia, sceny akcji, nutki filozofii, dobrze oddane podróże, mistyka, slice of life, world-building, motywy religijne, steampunk i właściwie co tylko sobie Państwo zapragną. Publikowane w specyficzny sposób, autor pisze dokładnie jeden roz-

dział dziennie, co momentami doprowadza do absurdu (obecnie jest napisane więcej niż 800 rozdziałów).

Ciekawostką jest, że najprawdopodobniej autorem tego opowiadania jest shortskirtsandexplosions, którego Imploding Colon jest drugim kontem.

2. Fire&Rain



Autor : Ruirik

Doskonałe w swej budowie opowiadanie, tym bardziej niesamowite że jest to jeden z nielicznych romansów, który na-

prawdę przypadł mi do gustu. Na pewno nie jest tandetny, scenariusz przedstawiający rosnącą miłość między Rainbow Dash a Spitfire jest naprawdę ciekawy, doskonale rozrysowany i umiejętnie wprowadzony. Wielką zaletą tego fanfika są również doskonałe wątki poboczne, szczególnie dotyczące organizacji Wonderbolts, ale chociażby mediów w Manhattanie. Definitywnie warty polecenia.

3. Rainbooms and Loyalty

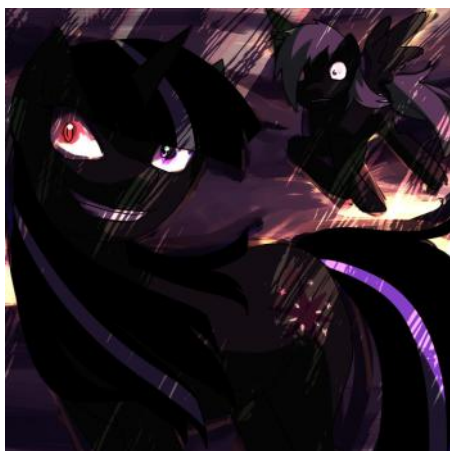


Autor : Trinary

Powiedziałbym, że najlepsze "rasowe" Alternate Universe jakie

zdarzyło mi się czytać. Fabuła jest naprawdę prosta, zamiast Twilight to Rainbow Dash zostaje uczennicą Celestii. W oczywisty sposób kompletnie zmienia to fabułę oraz nadchodzącą konfrontację z Nightmare Moon. Poza zmianą głównego wątku, wprowadzono również wiele innych zagadnień pobocznych, dodatkowe sceny oraz zupełnie zmieniono finalną walkę. Zrobiono to naprawdę w duchu serialu, do tego stopnia, że byłbym w stanie zobaczyć nasze My Little Pony, w którym to Rainbow Dash dowodzi Mane Six. Absolutnie warto przeczytać to opowiadanie, chociażby dla zobaczenia "a co by było gdyby". Naprawdę, perfekcja.

4. Immortal Game



Autor : AestheticB

Nie byłbym zbyt daleki od prawdy, gdybym powiedział, że to opowiadanie stworzyło nowoczesną kanwę do gatunku fanfików wojennych i grimdarkowych. Jedno z najstarszych opowiadań w fandomie oraz doskonały przykład, że można napisać dobre, mroczne opowiadania w niby tak "dziecinny" uniwersum. Fabuła jak na tamte czasy była naprawdę oryginalna, śmiertelni wrogowie Celestii i Luny - ich własna prze-

potężna boska rodzina powróciła, by podbić na nowo Equestrię i wprowadzić swoje tyraniczne rządy. Szybko rodzi się opozycja, która mimo początkowych trudności w finale jest w stanie stawić czoła straszliwym, okrutnym bogom.

Mała ciekawostka, w oryginale opowiadanie nazywało się "Ponies Make War". Tytuł został zmieniony najprawdopodobniej dlatego, że był zbyt mało poważny w stosunku do treści fanfika.

5. Shut The Blinds



Autor : The Rainbow Blunderbolt

Ciekawe opowiadanie, na pewno bardzo oryginalne. W trakcie ataku smoka na Ponyville Rainbow Dash osłania Fluttershy własnym ciałem przed ognistym oddechem potwora. Pada nieprzytomna, po czym budzi się w szpitalu. Ma rozległe oparzenia, ale to jest najmniejszy problem. Płomienie spaliły pegazowi oczy. Rainbow Dash jest ślepa.

Opowiadanie naprawdę może wywołać atak potężnej depresji oraz płacz, doskonały i pełny me-

lancholii opis bohaterki, która nie może się pogodzić z tym, że utraciła wzrok. Przyjaciółki wraz z Twilight na czele próbują jej pomóc dostosować do nowego życia na tym padole łez. Również jeden z lepiej rozpisanych romansów oraz doskonałe opisy psychologiczne, pięknie zarysowane postacie. Opowiadanie absolutnie warto przeczytać, choć i wielki smutek sprowadza na czytelnika.

6. Rainbow Typhoon



Autor : Nonsanity

Fanfik ten może oryginalnością nie zachwyca, lecz zdumiewającą głębią i wartką akcją już tak. Rainbow Dash ma okazję dołączyć do Wonderbolts na jeden show, ale akurat wtedy nad Manehattan nadciąga kataklizm w postaci huraganu. Opowiadanie piękne, bo choć nie posiada tagu [Slice of Life], świetnie przedstawia prawdy życia codziennego. Doskonale również zarysowana jest walka z huraganem, w której zarówno Rainbow Dash, jak i jej przyjaciółki oraz Wonderbolts muszą dać z siebie wszystko, by ocalić miasto.

7. Researcher Twilight

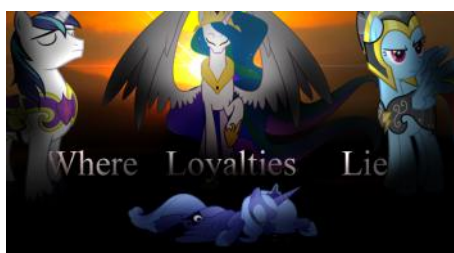


Autor : NATOstrike

Kolejne opowiadanie grimdarkowe, ale podchodzące do tematu z trochę innej strony. Tutaj mamy pokazaną Twilight, która w obliczu tajemnicy, mrocznej magii oraz wątpliwych moralnie badań powoli popada w szaleństwo i paranoję. Węszy wszędzie spiski, podejrzewa, że sama Celestia robi coś niewyobrażalnie złego. Co gorsza, jako efekt uboczny jednego z jej eksperymentów ciągle słyszy jakieś dziwne głosy w głowie...

Naprawdę, jeśli chodzi o mroczne fanfiki, Researcher Twilight ma niewiele sobie równych. Ciekawe i niejednoznaczne postacie poboczne, spiski, tajemnice, knowania oraz paranoja Twilight podniesiona do wyższej potęgi. Jeszcze nigdy szaleństwo nie było tak namacalne.

8. Where Loyalties Lie



Autor: Loyalliar

Kolejny grimdark, tym razem mamy powrót do starego dobrego "konflikt zagraża Equestrii, księżniczki w niebezpieczeństwie, ratuj się kto może!". Księżniczka Luna cudem przeżywa próbę skrytobójczą, lecz trucizna, którą połknęła powoli ją zabija. Rainbow Dash musi wyruszyć na długą wyprawę w poszukiwaniu lekarstwa. W międzyczasie Shining Armor poszukuje samego zabójcy, zaś w samej stolicy oraz Stalliongradzie zaczynają narastać konflikty w armii...

Na pewno jest to opowiadanie znacznie bardziej realistyczne, ma bardziej konkretnie zarysowany world-building oraz bardzo głębokie lore bazujące na fanfiku "Of Skies Long Forgotten" napisanego przez 24thPegasus. Rozbudowana jest również polityka oraz militaria, nie brak również oczywiście wartkiej akcji czy też wątku detektywistycznego. Polecam gorąco.

9. Mare of Steel



Autor : iowaforever

Jedyny Cross-Over, jaki się załapał w tym zestawieniu. Wbrew pozorom wcale nie z powodu tematu, gdyż nigdy nie rozumiałem, o co chodzi w fenomenie Super-

mana. Mimo tego, opowiadanie to jest napisane w naprawdę wspaniały sposób, z ładnie zarysowaną akcją oraz, co ważniejsze, doskonałymi wyjaśnieniami dla osób nierozumiejących tematu. Oczywiście poza walką z typowymi dla Superkaczy problemami jak meteoryty, oszalałe zwierzęta itp. mamy walki z klasycznymi łotrami z oryginalnego Supermena. Godny polecenia nie tylko fanom superbohatera w czerwonych majtkach.

10. Changelings, Changelings, Everywhere!



Autor : Benman

Cóż mogę powiedzieć, nie da się przeczytać tego opowiadania bez zaśmiania się chociaż z pięć razy. W zaledwie trzech i pół tysiącach słów Benman zawarł tak wiele absurdu i komedii, że może dojść do krytycznego uszkodzenia przepony. Dodatkowo bardzo celna krytyka jednego z najbardziej powielanych motywów w literaturze fandomowej, wprowadzona ze smaczkiem i wyczuciem.

Historia TCB - część 1

Biura Adaptacyjne. Dwa proste słowa,
a budzące tyle emocji.

Ghatorr

Okres w historii fandomu, w którym dochodziło do najbardziej epickich but-thurtów ku chwale FOLu/Equestrii, prowadzących choćby do spamu w określonych tematach na MLP-Polska czy do interwencji administracji i rozłamu grupy TCB na Fimfiction, już dawno minął (dodam - na szczęście, bo było to jednak męczące), podobnie jak spora część popularności tej gałęzi fandomu, ale mimo to Biura - świat, gdzie przybywającą na Ziemię Equestrię otacza Bariera,

ludzie są ponifikowani, wrogowie ponifikacji toczy swoje boje z jej fanatykami, a każdy próbuje poradzić sobie tak niezwykłym uniwersum - wciąż trwają...

A zaczęło się tak niewinnie! Ponad dwa lata temu, w marcu 2011 roku, na Equestria Daily trafił pewien niepozorny fic autorstwa niejakiego Blaze'a pod tytułem "The Conversion Bureau". Opowiadanie było napisane kszmarnym językiem, do tego w zachowaniu postaci niezbyt dało się wyczuć jakieś cechy wspólne z bohaterkami z serialu (dla przykładu można wspomnieć o Pinkie Pie deklarującej, że ludzie są brzydki, duzi i chciwi), do tego błyskawicznie oskarżono autora o dalece posuniętą mizantropię, choćby przez portretowanie całego gatunku ludzkiego albo jako niebezpiecznych psychopatów, którzy "nie chcą

porzucić swojej dumy i chcą żyć w Equestrii bez zmieniania się w kucyki", bądź jako dobrych i miłych potencjalnych konwertów, zgadzających się pomagać Celestii ze wszystkich sił we wszystkim, co ta by wymyśliła. Można by pomyśleć, że fic o takiej jakości i opinii szybko powinien zostać zapomniany w natłoku innych, lepszych, w tym wypadku jednak o sukcesie zadecydowała jedna rzecz.

Sam pomysł.

Główny fic od 2011 roku jest porzucony i nieukończony, ale jego dziedzictwo nadal trwa. Idea świata, w którym ludzie nawiązują kontakt z Equestrią i uzyskują możliwość przemiany w przedstawicieli innego gatunku była bardzo pociągająca, do tego pisarzy zachęcała możliwość naprawienia błędów oryginału. Niedługo po wydaniu oryginalnego opowiadania, jeszcze w tym samym miesiącu, wyszedł pierwszy spin-off pod tytułem "Pride" autorstwa Priderage'a, w którym



opisywał on los jednego z konwertytów, sporo jednak uwagi poświęcając tematyce utraty domu, świata, historii gatunku i tym podobnych rzeczy. Fanfic ten nie jest zbyt znany, ale zapoczątkował istny potop.

Kolejne opowiadania z tej serii nadchodziły jedno po drugim, a każde wносиło ze sobą coś nowego. "Last Man Standing" autorstwa Windchaser, opowiadając historię człowieka, u którego splot nieszczęśliwych wypadków uniemożliwił ponifikację i zabrał wszystko, co kochał w jego życiu, stało się pierwszym opowiadaniem, w którym wspomniano o IHSA, międzynarodowej organizacji zajmującej się badaniami, mającymi na celu zapewnienie ludzkości przetrwania, która była kontynuatką HLF (znanego w Polsce jako Front Obrony Ludzkości - ogromnego ugrupowania, którego celem było, zgodnie z nazwą, bronienie ludzkości wszelkimi możliwymi środkami, z naciskiem na "wszelkimi"), to również w tym ficu wprowadzono "puryfikację" - ideę potężnego czaru, którego rzucenie przez Celestię powodowało asymilację resztek Ziemi i ostateczny koniec dziejów gatunku ludzkiego. "Yellowstone" pióra Anonsiego, było bardziej przygodowym opowiadaniem, w którym ludzkości - o dziwo - nie grozi zagłada, kuce i ludzie żyją obok siebie w pokoju, a Equestria nie pożera Ziemi. Uznano je za optymistyczne względem zwykłego TCB, co doprowadziło nawet do utworzenia systemu RPG w tym uniwersum czy kilku pomniejszych historyjek w nim osadzonych. Na pewno należy wspomnieć również o "An Azure

Future" autorstwa Krassa, gdzie po raz pierwszy pojawił się PER (w Polsce znany jako POZ), czyli organizacja terrorystyczna, której celem było danie ludziom szczęścia ponifikacji - choćby bronili się przed tym rękami i nogami. Z ciekawszych smaczków na pewno zapadła mi w pamięć choćby taka kwestia, jak wpływ eliksiru ponifikacyjnego na dziecko kobiety w ciąży, w razie jej przemiany, wyjaśniona w AAF. Z kolei "A Twist in the Tail" midnightshadowa jako pierwsze wprowadziło znany i uwielbiany przez fanów wątek eliksiru wiśniowego, zmieniającego, niezależnie od płci człowieka, w kłacz. Bardzo dobrze się czyta również "Change of life", napisane przez Hurricane Punchera, przedstawiający ciekawy shipping kłaczy z człowiekiem i jego rozterki odnośnie ponifikacji.

Potem nadeszło jednak... objawienie. Inaczej tego nie da się określić - wydarzenie, wobec którego żaden czytelnik Biur Adaptacyjnych nie mógł być obojętny. Nadejście Chatoyance. Można o tej osobie powiedzieć wiele - mająca dość wybujałe ego, autorytarna i nieznosząca sprzeciwu, z bardzo kontrowersyjnymi poglądami, których tu nie będę przytaczała... Ważne jest to, że do tej pory napisała w sumie 23 historie ze świata Biur Adaptacyjnych, opisujące kwestie od przystosowania konwertytów w Equestrii przez działalność PER po pierwszy kontakt Ziemi z Equestrią i proces tworzenia eliksirów. Dbała w swoich dziełach o każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, nawet opisanie kwestii ubikacji equestriańskich. Jej postacie były





Wywiad z Flyghtningiem

Jest mi niezmiernie miło powitać pierwszego z fandomowych twórców, którzy zdecydowali się udzielić wywiadu naszemu magazynowi. Przed Wami osoba, która zyskuje coraz większą popularność, dzięki tworzeniu naprawdę doskonałej muzyki. Panie i Panowie – oto Flyghtning!

Dolar84: Witaj, Flyghtning. Powiedz mi, czy jesteś gotów podzielić się z czytelnikami niektórymi ze swoich sekretów?

Flyghtning: Witam, miło mi. Jestem gotów, zależy tylko jakie dane miałbym zdradzać. Niektóre są bardzo ściśle tajne



D84: Tylko bez paniki - postaram się utrzymać ciekawość w akceptowalnych granicach. Może zaczniemy od wywiadowych standardów. Czy "Flyghtning" to jedyny nick, pod jakim można Cię spotkać w fandomie? Czy może zdarza Ci się tworzyć również pod innym mianem?

F: Miałem trochę projektów muzycznych, najczęściej z twórcami włoskimi, też takimi muzykami-samoukami jak ja. Projekty obejmowały muzykę elektroniczną określaną jako "slow style", znaną głównie w Italii. Za to w fandomie "Flyghtning" to jedyny mój projekt związany z kucykami.

D84: Innymi słowy - postać międzynarodowa. Zaszczyt dla nas, zaszczyt. To może teraz zdradziłbyś nam nieco informacji o sobie? Kim właściwie jesteś, gdzie można Cię spotkać i czy pojawiaasz się na ponymeetach?

F: Kim jestem... Urodziłem się i mieszkam we Wrocławiu, skończyłem inżynierię dźwięku na wydziale elektroniki na polibudzie. Na ponymeetach pojawiać się zacząłem zaraz po zainteresowaniu się serialem i dopóki będzie za co jeździć, to będę pojawiać się nadal, najczęściej lokalnie oraz na Górnym Śląsku, a ostatnio nawet Zgorzelec dołączył do listy.

D84: To znaczy, że całkiem dużo potencjalnych meetów jest w Twoim zasięgu. Bardzo miło to słyszeć. Tymczasem przejdźmy do jednego z najbardziej ogranych, a jednocześnie wzbudzających największe emocje pytań. Jak? Jak to się stało, że dałeś się wciągnąć światu pastelowych kucyków? No i jak wyglądało Twoje pierwsze spotkanie z serialem?

F: Hmm... Tyle powiem, że uratował mnie przed totalną depresją. Kto wie, czy nie czymś gorszym... Spotkanie z serialem wyglądało tak, że jakimś cudem zechciałem sprawdzić, o co w nim

chodzi. Tym bardziej że to Lauren Faust, a ja lubię jej wcześniejsze produkcje. Nie miałem pojęcia o istnieniu MLP aż do zdaje się kwietnia albo maja tego roku. Obejrzałem i mnie coś walnęło

D84: W takim razie bardzo się cieszę, że napotkałeś Stado na swojej drodze. Pora na kolejny standard (HA HA - udało mi się dokonać muzycznego nawiązania!), czyli pytanie o ulubioną bohaterkę z Mane 6. Mam podstawę sądzić, że takową posiadasz, zdradź więc czytelnikom ten sekret. Kto jest Twoją ulubienicą i co dało jej taki a nie inny status?

F: Twilight Sparkle... Zakochałem się po uszy w niej. Dlaczego? Przypomina mi mnie, gdy zawsze zamiast zabaw na podwórku czy spotykania się z kimkolwiek wolałem rozwiązywać jakieś naukowe problemy samemu, by je zrozumieć, fascynacja tym, co większość ludzi uważa za czarną magię. Kolejną rzeczą jest to, że przeszła pewną przemianę... dokładnie taką jak ja po obejrzeniu MLP. Wcześniej w życiu bym nie pomyślał, że będę tak chętnie jeździć na jakiegokolwiek spotkaniu, gdzie jest duża grupa ludzi... cóż, chyba dobrze trafiłem. No i jej element daje jej dodatkowe punkty.

D84: Dlaczego ja wiedziałem, jak będzie brzmiała ta odpowiedź? No ale rzeczywiście pasuje do Ciebie. A spoza Mane 6? Jacyś ulubieńcy bądź ulubienice? A może po prostu którąś postać lubisz lub cenisz nieco bardziej niż pozostałe?

F: Spoza Mane 6... Vinyl Scratch, jako że bycie DJ'em to

moje aktualne marzenie. Derpy Hooves też stoi wysoko w rankingu... sam jestem czasem niezdarzy. Poza tym po prostu nie da się jej nie lubić. Co mnie urzekło też, to postać pełna przygód i jeśli zrobiliby film pełnometrażowy albo książkę... Od razu bym biegł po egzemplarz - Daring Do.

D84: No proszę, czyli jest kilka innych postaci, które jakoś Cię ujęły. To może jeszcze takie pytanie - ulubiony złoczyńca i dlaczego właśnie Discord?

F: Tak... Dlaczego akurat on. Chaos, dysharmonia... Do tego genialnie dobrany głos, którego intonacja wykonana jest po mistrzowsku. Wyluzowany koleś, zły i jednocześnie zabawny... na swój sposób. Rad jestem, że pojawia się znów w czwartej serii. Oby było go więcej.

D84: Trafiłem? Ale jaja... No nic, swoją nowo odkrytą wadą wzroku (czyli jasnowidzeniem) ponapawam się później, na razie obowiązki wzywają. Wróćmy do muzyki. Byłeś uprzejmy wspomnieć, iż zdarzało Ci się tworzyć z ludźmi zza granicy. Powiedz mi, czy masz jakiegos idola, na którym starałeś się wzorować w początkach swojej kariery muzycznej? I może jeszcze - z jakich programów korzystasz, tworząc swoją magię?

F: Jako że mam już trochę lat na karku, inspirują mnie takie osoby oraz zespoły: Gigi D'Agostino, Gabry Ponte, Kraftwerk, Jean Michele Jarre, Megara vs DJ Lee, DJ Digress, Mauro Picotto, Scooter, Yuzo Koshiro, Alexander Brandon

i wielu, wielu innych plasujących się w obrębie tanecznej oraz nieco cięższej muzyki, tworzonej na urządzeniach elektronicznych, także tej do gier z lat jeszcze 90. Wymieniać by naprawdę wiele. Muzykę tworzę głównie na sekwencerach będących hostami VST, w tejsze technologii sam też napisałem parę wtyczek.

D84: To znaczy, że słusznie robiłem, nazywając Cię fandomowym Gigi D'Agostino, tak jak Nicolasa Dominique określam mianem naszego Jean-Michael Jarre'a. Rzućmy teraz okiem na Twoje utwory. Widzimy tam zarówno wykonania autorskie, jak i remiksy. Powiedz mi proszę, jak to u Ciebie działa? Chodzi mi o to, czy najpierw znajdujesz sytuację/tytuł i dopasowujesz do nich muzykę, czy może jest dokładnie na odwrót? Dodam też pytanie o remiksy - czy planujesz przerobić wszystkie piosenki z serialu? Czy skupiasz się jedynie na tych, które Cię w jakiś sposób ujęły?

F: U mnie działa to we wszystkie strony. Może być tak, że coś wypatrzę/usłyszę w serialu, jest bania i nagrywam, albo zupełnie odwrotnie. Nie ma tutaj reguły. A co do remixów, to nie wiem, w projekcie mam "Hush now"... a dalej czy coś jeszcze przerobię stricte z serialu, to szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia Na pewno nie wszystkie, wolę skupić



się na własnych produkcjach. Remix Babs Seed powstał dlatego, że owa piosenka mi się bardzo podoba. CMC Theme to była zabawa głosem i taki ogólnie eksperyment, ale też w pewien sposób mnie urzekła.

D84: Wyczerpujące i kompletne odpowiedzi - takie lubimy! Jednak myślę, że temat muzyki już wyczerpaliśmy, o ile nie wdam się w kwestie techniczne, ale mogę się założyć, iż wtedy nic nie zrozumiałem z Twoich odpowiedzi. Pozwól jednak, że zapytam Cię, czy masz może jakieś plany dotyczące innych gałęzi twórczości fandomowej? Może napisanie czegoś?

F: Programu? Tak... grę, nawet mam już prawie skończoną, tylko grafiki mi jeszcze trochę brakuje. Ze względu na dwuznaczność pytania mniemam, że chodzi bardziej o napisanie czegoś w rodzaju opowiadania/fanfic'a. Tak, chciałbym, mam w głowie pomysły... aż za dużo. Muzyka to mój

główny nurt i zajmuje mi szacunkowo do 78% czasu, więc ciężko będzie. Chyba że zredukuję tę wartość... Pomyślę nad tym...

D84: Ptaszki ćwierkają, że pracujesz też nad pewnym projektem, którego efekty możemy podziwiać w Twojej piosence "Noissa la Vihsena". Czy zdradzisz naszym czytelnikom, o co chodzi? A może chcesz jeszcze przez jakiś czas utrzymać rzecz w tajemnicy?

F: Cały czas ten projekt rozwijam, dokumentacja puchnie. Zdradzić mogę tyle, co z obserwacji wynika, że jest to język. Tak, język z całą gramatyką, pismem, wymową, systemami liczenia, dat i w ogóle pełno innego dziwactwa. Wzorowany jest głównie na fińskim. W przyszłości zdradzę więcej szczegółów, czymże jest ów język, może się ktoś go nauczyć?

D84: Wiedząc, jak wygląda inny język, który stworzyłeś, polecam uczącym się wiaderko

aspiryny i poręczny mur, by tłuc w niego głową. Jednak brzmi on tak... tajemniczo i jednocześnie pięknie, że na pewno znajdziesz chętnych. Dobrze - to byłoby chyba wszystko, co chcieliśmy z Ciebie wydobyć. Czy chcesz pozdrowić kogoś na łamach MANEzette?

F: Mojego kumpla po fachu, wspomnianego Nicolasa Dominique, ciebie za wspaniałą współpracę przy produkcji Bloom of Architecture, wszystkich bronies z mojego miasta oraz wszystkich tych, których znam z ponymetów, z którymi piłem i w ogóle chyba cały fandom.

D84: Pochlebca! Aż się zarumieniłem... W każdym razie serdecznie dziękujemy, że zdecydował się poświęcić swój czas i zgodził się udzielić nam wywiadu. Polecamy się na przyszłość.

F: Silhovane Lanhiriakt!



Sekrety Wieży Zegarowej

Witam wszystkich! Z wielką przyjemnością prezentuję Wam pierwszą część mojej nowej serii artykułów z najróżniejszymi poradami, wskazówkami i pomysłami związanymi z pisaniem fanfików, czy opowiadań jako takich.

Alberich

W każdym numerze wybiorę jedno lub dwa zagadnienia, które dla Was omówię. Nie traktujcie tego ani jako prawdy objawionej, ani jako niezbędnego poradnika, nie jest to nawet samouczek. To po prostu najróżniejsze przemyślenia, które mogą komuś się przydać.

Serdecznie zapraszam też do dyskusji. Możecie dopytywać mnie o poruszone przeze mnie tematy, proponować własne rozwiązania i sposoby wykorzystania danego motywu. Z wielkim zadowoleniem przyjmę też wszelkie sugestie oraz pomysły na to, co takiego mam dla Was opisać. Jestem przekonany, że niektóre rzeczy mogą okazać się naprawdę pomocne. Do dzieła! Graj, muzyko!

Złota Zasada

Wyjątkowo zaczniemy od czegoś elementarnego. Dawno temu zabrałem się za lekturę poradnika dla mistrzów gry pt. „Graj Fabułą”, który to poradnik polecam każde-

mu, nawet jeśli nie interesują go RPGi. Znalazłem tam pewną myśl, której znacznie było tak elementarne i tak ważne, że stanowi absolutną podstawę tworzenia fabuły, scenariuszy, czy nawet opowiadań. Do dzisiaj jestem zdumiony tym, jak wiele treści niosło ze sobą to, co tam znalazłem, ile możliwości dało się z tego wyciągnąć. Jesteście zainteresowani?

Złota Zasada, która pozwala nam o wiele lepiej spojrzeć na nasze dzieła, da się zawrzeć w trzech prostych słowach. Jej wyjaśnienie zajmuje trochę więcej, ale też nie należy do trudnych. Oto i ona:

Przygodę napędzają informacje

To wszystko. W tych trzech słowach zamyka się cała potęga tworzenia opowiadań. Przygodę napędzają informacje, ale co to właściwie znaczy? Przygodą może być nasz tekst, nasza fabuła, nasza kreacja świata, wszystko to, co prezentujemy czytelnikowi, nawet jeśli tekst opowiada o codziennym życiu kucyków. Informacje to

wszystko to, co pokazujemy w tekście, zwroty akcji, dialogi, nasz punkt widzenia na świat, wyjaśnianie tajemnic, emocje, przemyślenia bohaterów, jednym słowem – wszystko to, co ma znaczenie dla opowiadania i dla czytelnika.

Zanim zabiorę się za dokładniejsze opisanie metod przekucia tej wiedzy na praktykę, posłużę się pewnym obrazowym przykładem. Prawdopodobnie niemal każdemu z Was zdarzyło się kiedyś wciągnąć w jakiś serial lub książkę. Siadamy wieczorem, by przyswoić sobie jeden rozdział lub odcinek przed snem. Nagle okazuje się, że coś poszło nie tak, nie będąc w stanie się oderwać, młócimy je jeden po drugim. Ciekawość o to, co stanie się dalej, co jeszcze zobaczymy, staje się zbyt mocna. To właśnie potęga informacji.

No dobrze, ale jak tego użyć? Otóż zadaniem pisarza jest stworzyć jak najlepszy tekst, właśnie w odpowiedni sposób prezentując

odpowiednie informacje. Sprawdzają się to do dawkowania, wybierania tych najważniejszych rzeczy, używania ich z możliwie największą finezją, wręcz żonglowania nimi.

Moglibyście teraz stwierdzić, że rzucam ogólnikami, zamiast przejść do konkretów. Być może, ale nawet taki drobiazg pozwala spojrzeć na nasze opowiadania innym okiem. Podczas pisania sami zadajcie sobie pytanie „W jaki sposób prezentowane przeze mnie informacje napędzają przygodę?” Zastanówcie się dobrze nad tym, jak wygląda Wasza gra z czytelnikami, postawcie się na ich miejscu. Taka zmiana perspektywy może okazać się bardzo wartościowa. Oto garść rzeczy, na które warto zwrócić uwagę:

- Czy opowiadanie wzbudza u czytelnika ciekawość informacji? Jeśli tak, warto poprowadzić to w taki sposób, by powoli ją zaspokajać, jednocześnie cały czas ją podsycając. Jeśli nie, niezwłocznie należy zacząć ją budować poprzez umiejętnie budowanie akcji. Sekrety, niejasności i postawienie trudnych

problemów przed bohaterami bardzo tu pomagają.

- Czy w tekście pojawiają się informacje zbędne? Może to być zarówno zbyt długi opis, który ani nie wzmacnia klimatu, ani nie daje czytelnikowi lepiej poznać świata i bohaterów, ani nie jest interesujący, być może nie powinien mieć miejsca w opowiadaniu. Filtrujemy tekst z rzeczy nieprzydatnych, a nabierze dynamiki i będzie mniej nużył czytelnika.

- Nie podawajmy wszystkiego na tacy. Czytelnik będzie chciał naszych informacji, jeśli stworzymy mu ich potrzebę. Jeśli doprowadzimy go do przesytu, podsyłając mu zbyt wiele rzeczy nieistotnych, przestanie mu zależeć. Warto postawić czasem ważne pytanie bez odpowiedzi, jednocześnie obiecując ją w przyszłości. W ten sposób nie tylko zdobywa się zaangażowanie, ale i zachęca odbiorców to spekulacji i zastanowienia.

- Dobry tekst to taki, który skłania do myślenia i weryfikowania podanych informacji. Nie każda rzecz, którą podaje autor, musi być pewna, dlatego czytelnik i twórca zaczynają swoistą grę, gdzie ten pierwszy próbuje przewidzieć tego drugiego. Jak zakończy się intryga? Kto okaże się zdrajcą? Czy słowa tej postaci są na pewno prawdziwe? W którą stronę to wszystko zmierza? Jeśli czytelnik zadaje sobie takie pytania, a nie jest pewny odpowiedzi, prawdopodobnie jesteśmy na dobrej drodze.

Jako krótkie podsumowanie – informacje są ogromnie ważne, budują praktycznie cały tekst. Jed-

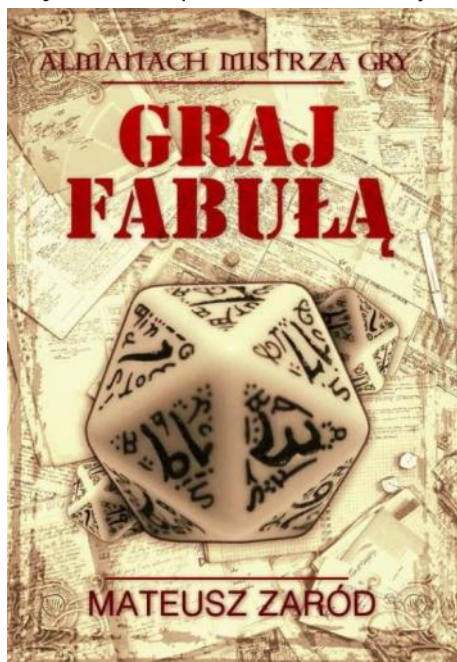
ne są ważniejsze od innych, należy umiejętnie z nich korzystać. Jeśli nauczymy się tego na naprawdę wysokim poziomie, będziemy wiedzieć, jak tworzyć zarówno świetną fabułę, jak i bogaty, głęboki świat. Dla tych, którzy po wszystkim czują jeszcze niedosyt – zapewniam, że często będę wracał do Złotej Zasady, często uzupełniając ją i znajdując jej nowe zastosowania.

Pomysł, pomysł przede wszystkim

Przed rozpoczęciem czytania, zanim jeszcze mamy kontakt z treścią... Jak to jest, że niektóre opowiadania od razu nas przyciągają, a inne mniej? Zbiera się na to sporo czynników – chwytliwy opis, renoma autora, okładka, dobre opinie czytelników, recenzja. Gdyby jednak znaleźć coś całkowicie elementarnego, co już na początku może uczynić tekst wyrazistym, dobrym i zachęcającym, co by to było? Kolejny raz odpowiedź nie jest taka trudna – pomysł.

No dobrze, tylko do czego sprowadza się ów „pomysł”? To ogólna rzecz, główny wątek, charakterystyczny element, coś, co będzie wyróżniać nasze opowiadanie, wokół czego zbudujemy całą resztę. Rzecz jasna dobry pomysł nie uczyni z góry naszego tekstu dobrym, a fatalny pomysł nie będzie w stanie go przekreślić. Dobrze jednak zacząć jak najlepiej.

Kryteria oceny pomysłów mogą wydawać się trudne, choć wcale takie nie są. Dość łatwo odróżnić pomysł miernej jakości od znośnego, dobrego lub znakomitego aż po genialny. Kolejny raz w grę wchodzi kwestia gustu, jednak



i tak uda nam się zdobyć w miarę ogólną i pewną weryfikację.

Przede wszystkim dobry pomysł jest pomysłem prostym, nie w sensie, że pozbawionym zawansowania, lecz nietrudnym do przekazania. Wyobraźmy sobie, że kilku ludzi rozmawia na temat opowiadań, opisują swoje nowe projekty. Pierwszy z nich mówi: „Wymyśliłem takiego fika, który opowiadał będzie o dwóch królestwach, w stanie takim... przedwojennym. Sytuacja jest bardzo napięta, dlatego władca jednego z nich wysłał grupę kucyków, by zbadała, co dokładnie dzieje się w tym drugim. Tamci nie są przekonani, czy to dobry pomysł, ale ruszają, zdając sobie sprawę, że tak naprawdę ktoś inny chce doprowadzić do wojny, szybko zmieniając się z agentów w tych, którzy chcą chronić pokój za wszelką cenę”. Może być z tego dobre i interesujące opowiadanie ze sporym potencjałem. Wtedy właśnie odzywa się drugi: „Mam podobny pomysł. W moim fikku nad królestwem kucyków zapada dziwna mgła, znikają obywatele, nikt nie wie, co się dzieje. Władca wysłał swojego najlepszego gwardzistę, by odkrył przyczynę, ale na jego drodze stają tajemnicze kuczki w maskach kruków”. Być może gotowy produkt drugiego fika byłby słabszy niż pierwszego, ale krótki, a bardziej wyrazisty pomysł, w dodatku lepiej sformułowany, znacznie bardziej przyciągnie uwagę.

Po drugie, im bardziej jesteśmy oryginalni, tym lepiej. Ratowanie świata, człowiek w Equestrii, własne wyjaśnienie pochodzenia Elementów Harmonii... Nawet

z tego można coś wyciągnąć, jednak o wiele lepiej już na początku wybrać sobie coś świeżego, czego jeszcze nie było, niecodziennego. Zamiast „Grupy mrocznych czarowników, chcących doprowadzić do przebudzenia złego Pana Zagłady, których trzeba powstrzymać” lepiej opisać „Historię kuczki, który infiltrując grupę magów z tajemnego kręgu, przekonał się, że nie są wcale tacy źli, jak się spodziewał”. Drugi pomysł już z góry będzie miał większy potencjał ze względu na to, że o wiele ciężiej byłoby znaleźć podobnego fika.

Jeśli już wpadniemy na świetny pomysł, on sam będzie nas napędzał, ponieważ wraz z nim przyjdą inne, równie dobre. Załóżmy, że zaczniemy od „Rarity została wyznaczona jako oficjalna reprezentantka dyplomatyczna Equestrii na Wyspach Kopyt, gdzie na miejscu odkrywa wielki spisek, mający na celu zastąpienie lokalnego lorda kimś innym, kogo tożsamość trzymana jest w tajemnicy”. Idziemy dalej, rozwijając zarówno intrygę, wątek Rarity, jak i kreację świata. Zaczniemy od Wysp Kopyt. dorzucimy następny pomysł, że jest to miejsce, w którym ciągle panują ogromne burze i sztormy, a tamtejsze pegazy jak nikt na świecie umieją walczyć z burzowymi chmurami. W ten sposób zdobyliśmy już ciekawą lokację z potencjałem. O Rarity możemy powiedzieć, że z jednej strony znakomicie nadaje się do swojej roli, ponieważ jest mistrzynią dobrego smaku, zdobywania zaufania innych, brylowania na salonach, cały czas obracając się wśród szlachty, czuje jednak presję ze względu na swoje pospolite pochodzenie, tak

więc mamy już o czym pisać z perspektywy bohaterki. Co z fabułą? Powiedzmy, że obecny Wielki Lord uważany jest przez wiele kucyków, a przede wszystkim pegazy z miast w obłokach, za pochodzącego z Equestrii uzurpatora, który ciągle ogranicza tworzenie huraganów i nie pozwala na wyprawy łupieżcze. Pewne kuczki chciałyby na tronie Władcę Burz, pana z Kuźni Błyskawic, by na nowo zacząć Czas Sztormów, jednak Wielki Lord zamknął większość wytwórni piorunów... Jak tu je otworzyć? W ten sposób mamy już kompletny pęk pomysłów na fika, który może okazać się sukcesem.

Kolekcjonowanie pomysłów jest czymś, co powinniśmy robić, gdyż często pojawiają się znikąd. W żadnym razie nie rozumiemy kategoriami jeden pomysł – jeden fanfik, nasze koncepty można składać w całość, by uczynić opowiadanie jeszcze ciekawszym. W każdym razie – pomysły są ogromnym dobrem, a im więcej ich mamy, tym większa szansa, że nasz tekst okaże się znakomity.

Tym samym osiągnęliśmy koniec artykułu. Jeszcze raz zachęcam do sugestii i dyskusji. Żegnam Was i zapraszam do lektury następnych Sekretów Wieży Zegarowej, które już wkrótce znowu się ukażą. Możecie spodziewać się więcej o „Teorii informacji”, jak i kilka słów na temat potęgi cliffhangerów, oprócz tego wiele więcej, wszystkiego nie wyjawię przecież z góry.

Do zobaczenia niebawem!

Przegląd muzyki fandomowej

Odsłona I — I made a bass for you, but i dropped it!

Jak już wielokrotnie wspominałem- dobra muzyka jest dobra.

Irwin von Cretinnowitz, Sliver

Wydałoby się, że rozpoczęcie tekstu od takiej wyświechtanej oczywistości to totalna bzdura... Jednak pomimo tego, iż większość ludzi zgodzi się z prawidłowością przedstawionej tezy, to neguje ona całkowicie istnienie dobrej muzyki w naszym pięknym (na ogół, dopóki dym z ognisk shit-stormu nie gryzie w oczy zasłaniając wizję), kucykowym fandomie, sprowadzając artystyczną czy rzemieślniczą działalność do zabawy syntezatorem i prymitywnego disco-polowego łubudubu. Jako, że zbrodnią jest trzymanie takiej ilości dobrej muzyki tylko dla siebie, mam zamiar na łamach MANEzette zwiększyć świadomość ludzi co do istnienia dobrze wykonanej, wpadającej w ucho muzyki związanej z okołokurową twórczością.

Zatem witam w pierwszej odsłonie jakże profesjonalnego i elegancko spóźnionego przeglądu muzycznego, obejmującego

cały listopad i parę upchniętych siłą kawałków miesiąca z boku. Fandom po raz kolejny udowodnił, że w stosunkowo krótkim czasie jest w stanie stworzyć kawał naprawdę świetnej twórczości.

Sand Josieph - Mother Changeling (feat. Amelia Bedelia and other changelings)



Wierząc autorowi - hip-hopera. Dawno nic mnie tak nie zmusiło do gwałcenia przycisku replay - zdecydowanie najlepszy kawałek jaki mam przyjemność dziś opisywać... a może jeden z lepszych kawałków fandomowych w ogóle. Samo wykonanie jest po prostu PRZE-ŚWIE-TNIE. Suchając tego, czuję się jakby ktoś wydrapał mi uszy łyżeczką, a później całą pust-

kę zappełnił czystą epickością. Kojarzająca się z musicalem, operowa konwencja, świetnie pasująca do serialu (bez problemu wyobrażam sobie wykonanie tego utworu w animacji), składający się nań genialny, dobrze zaśpiewany tekst, doskonałe chórki podkreślone partią skrzypiec i dobrze dobraną pętlą perkusyjną... Wszystko komponuje się w całość zrzucającą z krzesła.

Jeff Burgess & The Bad Mares (Ft. Rina-Chan & AcousticBrony Edd) - Everything Staged



Teen Rock. Zwiastun nadchodzącego albumu Jeffa - Autumn Nights z gościnnym udziałem Rina-Chan w sferze wokalne oraz AcousticBrony'ego na klawiszach. Według mnie bardzo dobry tele-

dysk. Niektórzy sądzą, że akompaniament nie komponuje się dobrze z wokalem, niemniej ja uważam, iż mimo pewnej niedoskonałości i chaosu w muzycznym tle, jest świetnie.

Filly Dreams - Jeff Burgess and the Bad Mares



By lepiej przedstawić osobę Jeffa, pokażę także ten zwiastun. Pozytywny kawałek z bardzo sympatycznym tłem muzycznym, dobra współpraca klawiszy z gitarą i perkusją. Fajna solówka. Motyw, na którym oparto warstwę liryczną kawałka jest dobry, zaś wokal Jeffa odrobinę kojarzy się z folkem irlandzkim (tylko jest nieco bardziej zniewieściały i przepity).

BassCat and ISMBOF - Wind Slash (Gość. Nexgen and Feather)



Electro Rock. Dobrze wykonany pomysł z kontrastem obu wokali,

szkoda, że tło muzyczne (nawiasem mówiąc, składające się z przyjemnie grającej gitary elektrycznej) nie zmienia nastroju w zależności od partii wokalne... chociaż mogłoby to sprowokować chaos. Zdecydowanie na plus.

Replacer - Waltz for the Night (gość. Feather)



Bardzo przyjemna kołysanka w rytmie walca, w charakterystycznym klimacie Replacera (choć jest on tutaj mniej widoczny niż w innych jego piosenkach, a raczej - utrzymany w odmiennej konwencji). Warte polecenia.

Neighsayer - Closer (gość. Feather)



Czillowy kawałek z typową hip-hopową pętlą. Dobre spokojne tony wokalu komponują się z gitarą i przygrywającą miejscami harmonijką. Słuchając wręcz czuje się oddany klimat słońca i odpoczynku po ciężkiej robocie.

Musicians of Ponyville | Vocals by Vylet - Back to Love

Dobra piosenka, z świetnym wokalem i wstawkami trance.

Flyghtning - Bloom of the architecture



Bardzo sympatyczny elektronik, przywodzący na myśl starsze kawałki tego gatunku. Nie jest jakiś wybitny pod względem formy (no, co najwyżej oryginalny - tego typu kawałków pojawia się dziś bardzo niewiele), czy treści (CMC klasyk), niemniej przyjemnie się słucha. Ciekawostka - tekst do tej piosenki wykonał i napisał dobrze nam znany Dolar84.

SlyphStorm - Castle of Shadows



Nieco na przekór postawionej wyżej tezie dorzucam kolejny elektronik, inspirowany z kolei 3 odcinkiem. Wyjątkowo świetne zwłaszcza w intrze, później wszystko odrobinę zbyt się zlewa. Fajna, skoczna nuta, bardzo fajny "epicki" bass i idealnie pasujące wykonanie wokalne. Fani gatunku powinni być wniebowzięci, reszta na pewno pokiwa głowami w rytmie.

Sim Gretina & donglekumquat - Everypony's Gay For Braeburn



Electro house/trance. SimGretina. EVERYONE IS GAY FOR BRAEBURN. Cóż, to chyba wystarczy za opis dla wszystkich znających tego wykonawcę.

Aphylliate - Doctor Whooves



Jak każdy fan wie, 23 listopada miała miejsce premiera sezonu IV MLP. Jednak faktem mniej znanym wśród broniaczy, jest to, że tego samego dnia pojawiała się kolejna odsłona przygód Doktora Who. Z tej okazji Aphylliate - autor Pegasus Arcane - wydał fajny, autorski mash-up (w zamyśle mix) motywów muzycznych z obu seriali.

4everfreebrony - Chant of Immortality (ft. Chi-Chi)



Kawałek w spokojnej tonacji,

o nieco smutnym wydźwięku, co dobrze podkreśla przodujący, grający w tle muzycznym fortepian. Dobry, nieco patetyczny (w tym smutnym sensie) wokół u obojga śpiewających, świetnie przejścia.

Tellab & MeetSouder - Guide You Blindly



Fajna, świetnie zaśpiewana piosenka ze sporą dawką patosu. Cholera, nienawidzę, gdy o dobrych kawałkach mogę napisać tak żałośnie mało...

Kenneth Kraylie - I Will Never Meet Her



Fajny, akustyczny kawałek, z bardzo dobrym wokalem, przewodzącym na myśl musicale. Wbrew tytułowi – brzmi cholernie pozytywnie, a sama piosenka jest kucykowa jak szlag.

Risen from the dust - Regret

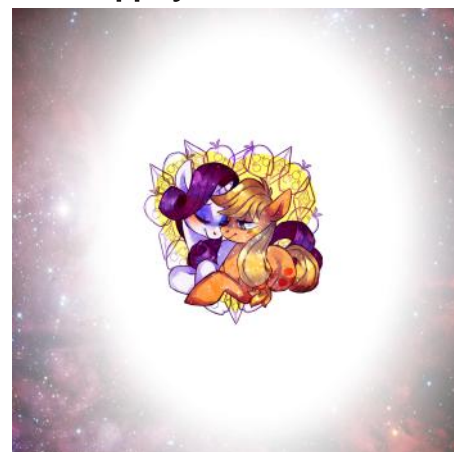
Fajne trance, z dobrą pętlą perkusyjną (bo jakżeby inaczej w tym gatunku) dobrze oddające klimat tytułu.

General Mumble (gość. Tellab) - Devil In Me



Jeden z kawałków składający się na trójpozycyjną Nightmarową EPkę Generala Mumble. Świetnie zaśpiewany tekst bardzo oddaje istotę całego przedsięwzięcia, a spokojny beat jest bardzo przyjemniutki. Samo wykonanie wokalne odrobinę kojarzy mi się z piosenką Soulstice – fall into you. Zdecydowanie na plus.

Canapplejack - Secrets



Instrumental, rock. Ostrzegam, że osoby nie lubujące się w tego typu klimatach usłyszą tylko kompletnie niezorganizowany chaos. Niemniej, dla pewnej specyficznej grupy melomanów.... TA ŚCIEŻKA BASSOWA, TA PERKUSJA, TE PIĘPRZNIĘCIE ELEKTRYKIEM TAK TAK TAK TAK TAK. Dobre modulowanie nastrojem utworu, przy nie zmienianiu go w szalony mashup. TAK TAK TAK.

Recenzja podwójnego odcinka „Princess Twilight Sparkle”

Niby po staremu, ale jednak inaczej.

Baffling

Po zakończeniu średnio udanego sezonu trzeciego wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na premierę następnego. Teraz, gdy pojawiły się pierwsze odcinki, możemy wreszcie odpowiedzieć sobie na elementarne pytanie: czy było warto?

Na samym początku widzimy Twilight, próbującą nauczyć się tajników sztuki latania. Lawendowa klacz chce dobrze wypaść podczas obchodów Święta Letniego Słońca („Summer Sun Celebration”), gdzie ma zaprezentować swój lot przed tłumem kucyków. Niestety, wciąż nie potrafi zapanować nad swoimi nowymi skrzydłami, dlatego każde wzbicie się w powietrze jest zakończone bolesnym upadkiem.

Po pokazaniu nam nieco odświeżonej czołówki serial przenosi nas do zamkowej komnaty z witrażami. Słyszałem sporo narzekania na temat zastosowanego w tej scenie (a także kilku innych) syste-

mu światłocieni, ale mnie osobiście bardzo się spodobał. Dodaje całości większego realizmu, no i wygląda ślicznie.

Między kucykami dochodzi do ckliwej rozmowy, podczas której okazuje się, że przyjaciółki muszą bezzwłocznie wrócić do Ponyville, by pomóc w tamtejszych przygotowaniach do obchodów wspomnianego wcześniej święta. Do głosu dochodzi też Applejack, która... Tutaj warto byłoby się na chwilę zatrzymać. Kreacja pomarańczowej klaczy w obu odcinkach pozostawia sporo do życzenia. Może nieco przesadzam, ale według mnie zachowuje się nieco... niemądrze. Ile już razy było podkreślane, że prawdziwa przyjaźń trwa na przekór wszystkiemu i pochodzi z głębi serca? Dlaczego więc Applejack wydaje się opierać jej trwałość na przedmiotach, którymi Klejnoty Harmonii przecież zawsze pozostaną, niezależnie od mocy w nich drzemiącej? Wydaje mi się to nienaturalne i tak naprawdę służy jedynie jako

fundament pod wątek poruszany w odcinku drugim, ale do tego przejdziemy później.

Istotna jest też scena, w której Twilight przegląda wraz ze Spikiem swój grafik. Wygląda na to, że mimo nowej pozycji społecznej, nasza lawendowa klacz ciągle pozostaje niepoprawną perfekcjonistką i nie może sobie pozwolić nawet na ryzyko błędu.

Bicie pokłonów przed Celestią jest chyba troszkę wymuszone (bo dlaczego jednym razem wszyscy rzucają się przed nią na pyszczki, a innym niemal całkowicie ignorują?), ale to niekonsekwencja, która już od dawna przewija się w serialu, więc można nieco przytknąć na nią oko. Pochwalić jednak należy właściwe oddanie emocji Solarnej Władczyni. Rzadko kiedy mamy okazję dowiedzieć się czegoś konkretnego o którejś z królewskich sióstr, więc ich osobowości nie są nam nawet w połowie tak dobrze znane, jak szóstki głównych bohaterek. Do-

brze jest poznać punkt widzenia Celestii, poczuć, że i ona jest postacią z krwi i kości (czy z czego tam są zbudowane alicorny).

Będąc w temacie, warto byłoby scharakteryzować całkowity udział Księżniczki Dnia w obu odcinkach. Do tej pory Celestia albo nie angażowała się bezpośrednio w wielkie wydarzenia przedstawione w serialu, albo robiła to... dość nieudolnie (patrz: „Canterlot Wedding”/„Ślub w Canterlocie”). Co prawda podawano nam informacje o tym, jak pokonywała różne zagrożenia w przeszłości (Nightmare Moon, Discorda czy Sombę), ale były one na tyle mgliste, że tak naprawdę nie wynikało z nich zbyt wiele.

Teraz jednak dostajemy wgląd do minionych zdarzeń. Widzimy Celestię asertywną, bojową, gotową do poświęceń. Widzimy prawdziwą księżniczkę.

Wracając do fabuły... Podoba mi się także jakkolwiek udział strażników królewskiej w przedstawionym wątku. Może i jej przedstawiciele nie odegrali najważniejszej roli, ale przynajmniej pokazano, że są w stanie samodzielnie myśleć. Co do Twilight wydającej rozkazy – jestem jak najbardziej na tak. Przecież zawsze była dobra w zarządzaniu. Teraz jedynie zmieniła się skala.

Po usłyszeniu o zniknięciu królewskich sióstr Twilight otrzymuje kolejne szokujące wieści. W efekcie bezzwłocznie udaje się do atakowanego Ponyville, gdzie ponownie spotyka się z przyjaciółkami. Za pomocą Klejnotów Harmonii przyzywają

domniemanego sprawcę całego zamieszania: Discorda.

Pan Chaosu błyskawicznie wysuwa się na pierwszy plan, chciwie zagarniając dla siebie czas antenowy i serca fanów. Mimo resocjalizacji, jakiej został poddany, wciąż zachowuje się jak zazwyczaj, zaskakując i śmiejąc swoją randomowością. Panujące wokół szaleństwo najwyraźniej sprawia mu radość, więc stara się je maksymalnie wykorzystać. Nie udziela kłaczom żadnego wyjaśnienia, choć doskonale zna naturę problemu trapiącego Ponyville. Wydawać by się mogło, że czym więcej Discorda, tym odcinek jest lepszy, prawda? Cóż, niekoniecznie, bo choć sam draconequus jest bardzo lubiany w fandomie, to w „Princess Twilight Sparkle” poświęcono mu nieco zbyt dużo uwagi.

Tutaj pojawia się jeden z największych problemów odcinka. Próbuje przekazać nam zbyt dużo informacji w zbyt krótkim czasie. Wszystkie wątki zostają podomyskane, ale pojawia się lekkie uczucie niedosytu. Mamy kiepskie próby latania Twilight, domniemaną inwazję lasu Everfree, Discorda w swoim żywiole, kilka wizji minionych wydarzeń, poszukiwania źródła problemów, mały zgrzyt pomiędzy przyjaciółkami i tajemniczą szkatułkę. A w tle Święto Letniego Słońca. Szczególnie skrócona wydawała mi się scena buntu Luny. Emocje towarzyszące Pani Nocy ograniczyły się do „jestem zazdrosna, więc pozbędę się siostry i zacznę sama rządzić”. Nie oczekuję po serialu jakiejś niezwykłej głębi (pamiętajmy o grupie docelowej), ale moim zdaniem da-

ło się to lepiej rozegrać. Teraz Luna wydaje mi się być znacznie płytszą postacią niż kiedyś. Scena walki pomiędzy siostrami jest za to całkiem dobra, w szczególności zaś jej ostatnia faza, w której Celestia przy pomocy Elementów Harmonii zsyła Nightmare Moon na tysiącletnią banicję.

Niedługo po zakończeniu wszystkich wizji dochodzimy do najgłupszej części odcinka. Przyjaciółki nakłaniają Twilight do opuszczenia niebezpiecznego lasu, by nie ryzykować życia kolejnej księżniczki. W porządku, ale... istnieje uzasadniona obawa, że lawendowa kłacz będzie niezbyt na do rozwiązania problemu. Jej Klejnot Harmonii zapewne też by się przydał... Zresztą, chrzanić to! Wszystko da się załatwić siłą! A jak się nie uda, zawsze można stać w miejscu i intensywnie gapić się na Drzewo Harmonii. Wiercie mi, to sprawdzony sposób!

Ostatecznie wszyscy odzyskują rozsądek, by następnie szczęśliwie pozbyć się uciążliwych zielsk (ciekawie, co się stało z kolczastymi chmurami?). By to osiągnąć, szóstka kłaczy musiała oddać swoje Elementy. W ramach rekompensaty otrzymują za to tajemniczą szkatułkę. Cóż... Good deal.

Co jest więc takiego wyjątkowego w „Princess Twilight



Sparkle”? Po pierwsze, zrywa z niektórymi schematami (nowy antagonista, używanie Klejnotów Harmonii do ratowania Equestrii). Po drugie, daje nam wgląd na znane dotychczas tylko z opowieści wydarzenia. Po trzecie, mamy tytułową księżniczkę, która musi sobie poradzić z pewnymi zmianami. Na szczęście transformacja w alicorna nie uczyniła z Twilight super-OP niszczycielki wszechświatów. Jej moc magiczna jest na podobnym poziomie co dawniej (lub po prostu nie zademonstrowała jeszcze pełni swojego nowego potencjału).

Właściwie trudno jednoznacznie ocenić ten podwójny odcinek. Z jednej strony jest w nim zawarte sporo akcji, niektóre wątki zostają rozwinięte, pojawia się kilka zabawnych sytuacji i mrugnięć okiem. Światłocienie i efekty 3D też całkiem nieźle dają radę. Cała szóstka klaczy zachowuje się dość rozsądnie (nie licząc tej jednej wtopy z odesłaniem Twilight do domu), no i dostajemy tajemnicę, nad którą nasze bohaterki będą się głowiły prawdopodobnie aż do końca sezonu. Na moje największe uznanie zasługuje jednak świetne okazywanie emocji przez postacie (wspomnienie walki królewskich siostr było pod tym

względem fenomenalne!).

Jeśli chodzi o wady... Większość wymieniłem już wcześniej. Rozwijając tylko problem wspomnianej wielowątkowości, muszę z niezadowoleniem wspomnieć, że Pinkie Pie, Rarity i Fluttershy odegrały naprawdę znikomą rolę w obu odcinkach (a już w szczególności w drugim). Po prostu zeszły na drugi plan. Gdyby nie przymus obecności wszystkich powierniczek do użycia mocy Elementów Harmonii, to równie dobrze mogłoby ich w ogóle tam nie być.

Oprócz tego mógłbym dodać parę przykładów małych dziur fabularnych i ułatwień, na jakie poszli twórcy. Tylko uprzedzam, że to będzie już trochę czepialstwo! No bo spójrzmy: czy korzenie, które porwały Celestię nie przebiły się czasem przez podłogę? Co za tym idzie, powinny pozostawić wyraźne ślady (a gwardziści podobno nie potrafili znaleźć żadnych poszlak). Dlaczego Twilight nie teleportowała się do Ponyville zamiast lecieć tam na własnych skrzydłach (chyba nigdy nie zrozumieć, na jakiej zasadzie działa to zaklęcie)? Czemu mogła używać magii, chociaż wszechobecne zielska podobno ją wypaczały? A skoro już miała do

dyspozycji czary, dlaczego tak dawała sobą pomiatać? Przecież wystarczyło miotnąć w krokodyla pociskiem energii, albo chociaż teleportować się w bezpieczniejsze miejsce. Takie błędy i nielogiczności może i nie powodują wybuchu wściekłości i nagłej chęci popełnienia morderstwa, ale psują nieco odbiór całości.

Na koniec warto wspomnieć o symbolice ostatniej sceny. Przekaz jest mniej więcej taki sam, jak w drugim odcinku pierwszego sezonu (co spaja cały serial ładną klamrą). Twilight (czyli Zmierzch) przelatuje na tle opuszczanego księżycyca i wznoszonego słońca. Łączy dzień i noc tak, jak pogodziła zwaśnione siostry (które są przecież ponimorficzną personifikacją tych zjawisk niebieskich).

Przytoczyłem sporo wad i całość połałem sporym wiaderkiem żółci, więc można odnieść wrażenie, że moja ocena będzie negatywna. Jednak nie mógłbym ocenić „Princess Twilight Sparkle” w sposób tak skrajny. Mimo wszystko, całkiem nieźle bawiłem się przy oglądaniu tego epizodu! Są mocne i słabe momenty, wzloty i upadki. Dlatego obu odcinkom wystawiam notę „good job”. W moim osobistym rankingu plasują się więc gdzieś pomiędzy „przeciętne”, a „świetne” (jak na moje wysokie wymagania, to i tak całkiem nieźle). Liczbowej skali jednak nie zastosuję, ponieważ uważam ją za zbyt ogólny wyznacznik jakości. Pozostaje mi tylko zachęcić was do oglądania (jeśli jeszcze tego nie zrobiliście) i życzyć miłych wrażeń. A obejrzeć trzeba, bo naprawdę warto!



Castle mane-ia

Czyli o nawrocie wiary do manii oglądania
Irwin von Cretinnowitz

Do Castle mane-ia, trzeciego odcinka czwartego sezonu, podchodziłem z bardzo mieszanymi uczuciami - premierowy start według mnie ratowały tylko momenty, a fabularnie był bardzo, bardzo słaby. Strachem o los i inwencją twórców serialu (w tym twórcy fabuły tego odcinka - Josha Harbera) napawały mnie odgrzewane fabularne kotlety, które co prawda bawiły, ale mogły być niepokojącym zwiastunem degeneracji. Po dwukrotnym obejrzeniu Castle-mane-i (raz wyciek odcinka i drugi raz, już po premierze w HD) mogę stwierdzić z ręką na sercu, że jeśli ktokolwiek miał posępne wizje upadku naszej ulubionej serii, to odcinek w pełni je rozwiął, nie zostawiając cienia wątpliwości.

Fabula jest niesamowicie prosta i łatwa w konstrukcji, jednak, tak jak dawniej, to stanowi jej siłę. Oto Twilight, będąca jak za starych, dobrych czasów moim książkowym, w poszukiwaniu od-

powiedzi na to, czym jest tajemnicza skrzynka w Drzewie Harmonii, za radą Celestii udaje się do na wpół zrujnowanego Zamku Sióstr (gdzie oczywiście zalega w bibliotece do końca odcinka, jak gdyby dało się za pomocą wymyślnych tortur oraz przypadkowych narzędzi zamykać tajemnice między stronicami książek). Rainbow wraz z Applejack starają się o tytuł najodważniejszego kucyka. Gdy jury w postaci

Pinkie okazuje się odrobinę zbyt losowe, wybierają na próbę odwagi wspomniany zamek. Rarity z pomocą Fluttershy zabawia się w połączenie złomiarza i Indiany Jonesa, rabując starożytne sztandary z warowni dwóch sióstr. Pinkie... "you are so random, Pinkie Pie!". Stukot końskich kopyt rozbrzmiewa pomiędzy starymi murami, a szlaki przyjaciółek krzyżują się w zabawny, przewrotny sposób, doprowadzając do



mistrzowsko zabawnego punktu kulminacyjnego, kiedy większa część Mane six biega w panice jak kurczaki z urwanymi łbami (i jeszcze zabawniejszego momentu, kiedy zostaje odkryta tożsamość złowrogiego Kucyka-Z-Cieni).

Odcinek jest genialnie skonstruowany - wszystkie postacie wypadły niesamowicie naturalnie, po raz kolejny zachwycając świetnymi, głębokimi charakterami. Poza samą konfortacją postaci i ich charakterów, odcinek pełnymi garściami czerpie z motywów starych, zrujnowanych i przerażających zamków - znajdujemy ukryte przejścia, mroczne Kucyka-Z-Cienia, obowiązkową muzykę organową, a sam odcinek jest wielkim mrugnięciem do Castle-vanii, Upiora w oprze czy Scooby-doo. Znów pojawiła się gigantyczna ilość ciepłego humoru (w gotyckiej scenerii), za który tak pokochałem tę serię - czy to w postaci żartów sytuacyjnych, za-

bawnych dialogów, czy też lolrandomu Pinkie.

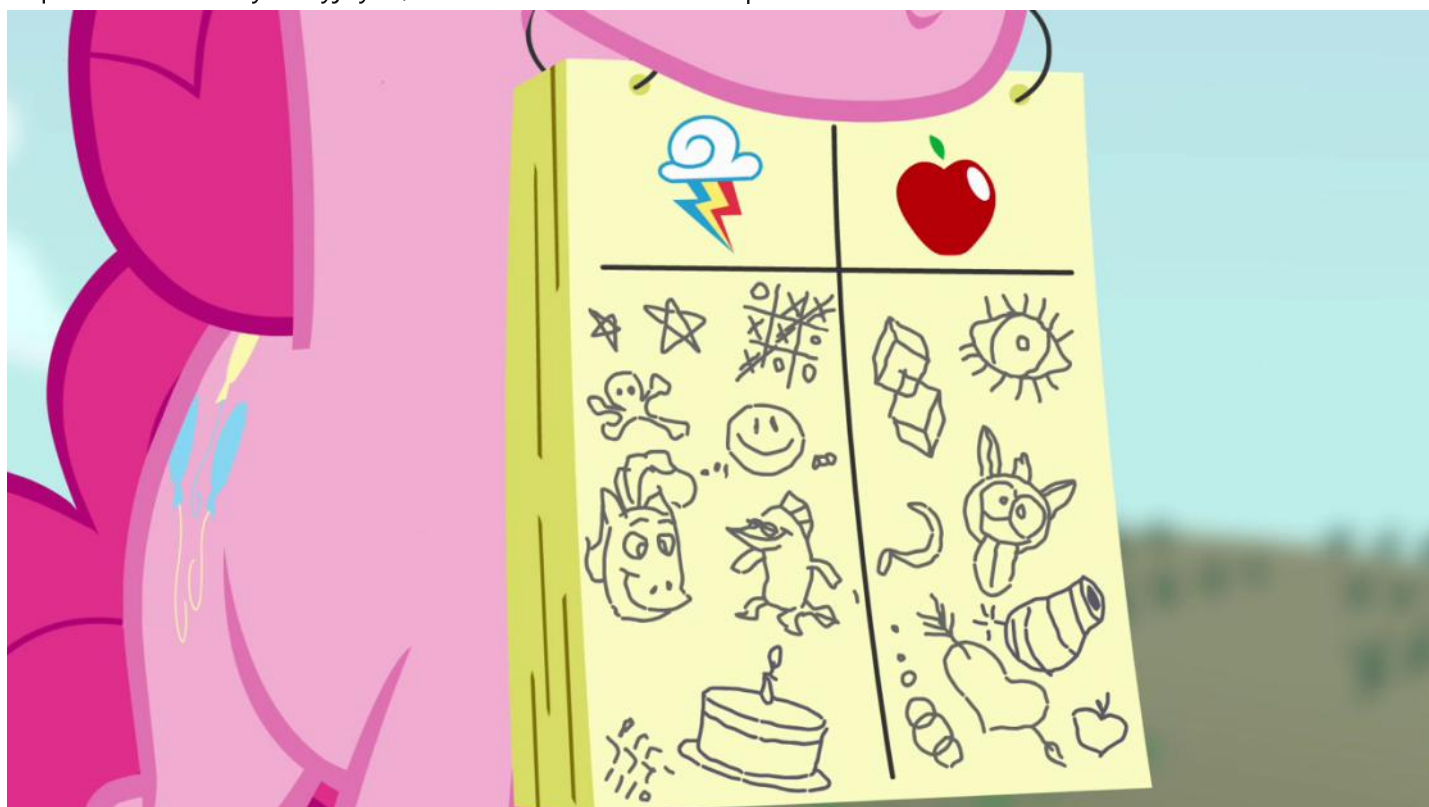
Kombinacja tych wszystkich elementów zgniata mózg na kształt małego, gęstego sześcianika, radośnie wrzeszczącego "PONE PONE PONE PONE PONE". Ach - powrotem do tradycji listów o przyjaźni może być pisanie pamiętnika przez całą Mane 6, więc ci, którzy obawiali się zaniku tego zwyczaju (wskutek ewolucji Twilight Sparkle), mogą spać spokojnie.

Od strony wizualnej, serial wygląda znacznie lepiej niż w poprzednich sezonach. Lokacje są pełne dopracowanych szczegółów, sam zamek wygląda na starannie dopracowany, poza tym pojawiło się cieniowanie i efekty świetlne różnego rodzaju, wykonane na naprawdę wysokim poziomie. Nie zauważyłem także żadnych błędów animacji, co było dla mnie dość niespodziewane. Za-

to kucyków drugoplanowych pojawia się zbyt mało, by ocenić ich różnorodność.

Fani poszukiwania drugiego dna w serialu dla czteroletnich dziewczynek też powinni być zachwyceni - w tle pojawiają się różnorakie wojenne artefakty (w tym broje, czy - po raz drugi - portret generała z Mystery Friendship Express), jest też wzmianka o dzieciństwie Luny i Celestii. Nie jest to co prawda taki strzał z przyłożenia w łeb dla fanfików, jak premierowe odcinki tej serii, ale rąbek "tajemnicy" dotyczącej kształtu przeszłości został uchylony.

Bawiłem się równie świetnie przy obu podejściach. Jeśli ktoś obawiał się o los serialu o kolorowych, radosnych sarenkach, to ten odcinek mógłby uratować cały sezon.... a może starczyć i na więcej!



Liczy nie kłamią - odcinek był przecadowy.



Verlax

Quo Vadis Europo?

Dokąd zmierzasz świecie? Bo im dłużej przyglądam się wszechobecnej zgniliznie, tym gorzej czuję się, jakbym do swego własnego pokolenia nie pasował.

Europa! Niegdyś wspaniała stolica cywilizacji, jaśniejąca latarnia pośród czarnego morza barbarzyństwa i ignorancji! Nigdy jeszcze w świecie nam znanym ten kontynent nie był wręcz tak porażająco i przerażająco zepsuty. Czemu zepsuty? Albowiem umierają wartości, które kiedyś stanowiły podwalinę wielu imperiów, wielu państw, które trwały setki lat. Patrzą i oczom nie wierzę. Choć i ciałem młody, duszą i umysłem czuję, jakbym tkwił gdzieś daleko w tyle.

Zachód zwykł być dla mnie krainą z deczka abstrakcyjną. Za rzeką Odrą jakby wszystkie wartości, kultura czy tradycje obracały się do góry nogami. Swego czasu, gdy zdarzyło mi się przeczytać o tych

“postępowych” zachodnich ustawach i prawach, przecierałem oczy ze zdumienia. No bo czym można nazwać “aborcję po urodzeniu” jaka została wprowadzona w Belgii? Eutanazja dla noworodków? Coś mi się to dziwnie i w sumie niejednoznacznie kojarzy z akcją T4... Jeszcze 60 lat temu na nazistowskich Niemczech nie pozostawiono suchej nitki za mordowanie niepełnosprawnych, kontrolowanie małżeństw oraz “jakże postępową” aborcję osób niespełniających odpowiednich wymagań. O tempora! O mores! Cóż może zmienić zaledwie 60 lat? To jedno pokolenie, a tyle może się w nim dokonać!

Ale cicho. Uspokój się panie redaktorze. Kiedyś za największe zło uważano telewizję. Kiedyś księża namawiali do walki dubeltówką i Biblią. Kiedyś kobieta na uczelni i to jeszcze w stopniu doktora była kompletnym szokiem (hej Skłodowska!). Kiedyś pojedynki uważano za dobry sposób rozwiązywania kłótni, małżeństwa były aranżowane, a rasizm kwitł w najlepsze.

Postęp mocium panie, postęp. Siedzisz w ciemnogrodzie. Teraz już od dawna myślimy inaczej, lepiej, przyszłościowo. Twoje dzieci będą się śmiały z twego konserwatyzmu.

Ale mi jakoś za specjalnie nie jest do śmiechu.





Gorgon

Egzystencja Twicane

Od premiery pierwszego dwuodcinkowca czwartego sezonu fandom wrze. Sam odcinek przebiegł bez żadnych szczególnych fenomenów. Z trzema wyjątkami, które na dobre nami wstrząsnęły: Twilight Cane, Magiczna szkatułka, i Twilight Cane szerzej znana jako Twicane. Sam osobiście nie należę do grona jej wielbicieli, jednak postanowiłem zastanowić się skąd ta rewelcja.

Przyjrzyjmy się jej.

Na pierwszy rzut oka, widzimy zwykłe, pozłacane berło z głową kucyka. Niczym się nie wyróżnia, ba! Gdyby osoba spoza fandomu zobaczyłaby ją, na pewno nie zwróciłaby na nią uwagi.

Jednakże, kiedy zastanowimy się nad tym głębiej to, właściwie... właściwie nic nie zauważymy. Mimo swojej przeciętności, ten przedmiot opanował na dobre internet. Pod tym względem, przyćmił nawet kwestię szkatułki, która najprawdopodobniej będzie miała związek z finałem sezonu. A jaki wpływ na akcję będzie miała (miało?) twicane?

Może będzie jednym z sześciu owianych tajemnicą kluczy? Szczerze w to wątpię. Wiem, iż zapewne brzmi to jak tekst rzucony przez sceptyka tego artefaktu, jednakże nie owijając w bawełnę, tak jest. Racja może mój punkt widzenia jest subiektywny, jednak nie zaślepiam mnie to, i jestem w stanie ocenić tę kwestię (w miarę) racjonalnie. Najbardziej boję się reakcji Ha\$bro. Stale puszczają oko do nas, bronies więc czemu teraz nie miałyby tak być? Mimo iż nie przepadam za Twicane'em, zniósłbym je pokazujące się sporadycznie w tle, na półkach

w bibliotece, jednakże jeśli zobaczą odcinek z nią w roli głównej (nie wiem, jak byłoby to zrobione, jednak Hasbro stworzy dla pieniędzy wszystko), to padnę, i nie wstanę. Nie zniósłbym tego. Pisząc ten tekst, nie ma zamiaru urazić żadnego entuzjasty tego przedmiotu. Ale patrząc naprawdę obiektywnie (łatwo mi mówić, sam jestem sceptykiem, i mieszam ten przedmiot z błotem) artefakt ten nie jest szczególnie piękny, jednak, co nawet ja muszę przyznać nadrabia oryginalnością, sam jeden nigdy bym nie wpadł na taką koncepcję. Oczywiście nic nie ma samych wad, jakieś zalety muszą być, i są! Pierwszą z nich jest wspomniana wyżej oryginalność przedmiotu, pochodzi od Discorda (uwielbiam tego badassa), i co ważne dla fanów Twilight, zrobiła z niej nie księżniczkę, ale królową (bo raczej nie króla). Więc Twicane taki zły nie jest. Dodatkowo pokazuje, że wcale nie trzeba być na pierwszym planie, oraz grzeszyć szczególnym pięknem, a wciąż można być lubianym (piękny, acz niezaplanowany morał).

A, i jeszcze jedna rzecz, którą zauważyłem, widzicie jak pojedynczy kadr, może być lepszy, niż cały rozplanowany odcinek (Pamiętacie jeszcze zniechęcone „Just for Sidecicks?”). Więc może nie taka La-ska straszna, jak ją maluje?

Reasumując, Twicane mnie irytuje, jednak wcale tak źle nie jest. Jest dość przyjemnym dla oka dodatkiem w animacji. Niepotrzebnie na początku tak złorzeczyłem.

A to, że berło robi furorę, jako przeżyję, w końcu amatorski animacje i obrazki są robione od fanów dla fanów, a mi nic do tego.



Recenzja:

Wiedźmin: Sezon Burz

Autor: Andrzej Sapkowski

Nasza fantastyka nie byłaby taka sama bez legendarnego opowiadania "Wiedźmin", opiewającego losy płatnego zabójcy potworów w czasie próby odczarowania strzygi.

Verlax

To, co przyszło potem, to jest kolejne zbiory opowiadań oraz słynny pięcioksiąg, wyznaczyło nowe standardy w polskiej literaturze. Czy kolejna powieść jest równie rewolucyjna jak wcześniejsze dzieła Sapkowskiego? Na pewno nie, jednak kunsztu autora w nim co niemiara.

Sezon Burz zaczyna się... standardowo. Wręcz powiedziałbym, że do bólu przewidywalnie. To w sumie największy problem tego dzieła, Sapkowski wyraźnie miał problemy z dobrym startem oraz porządnym rozgrzaniem się przed esencją opowiadania. Początek Sezonu jest, co tu dużo mówić, przeciętny. Mamy typowe starcie z potworem, typową korupcję z wiejskimi urzędami w tle, typowe przybycie do miasta, no już trochę nietypowe strażniczki miejskie oraz typową czarodziejkę, która zgodnie z tradycją serii będzie nawiązywała z Geralem dosyć "bliskie" kontakty. Pierwsze strony wyglądają nieco jakby ktoś próbował kropka w kropkę naśladować

styl autora, jednak oczywiście nie mógł tego zrobić idealnie. Wątek, który jest niejako tłem do wszystkich wydarzeń, to jest spisek koronacyjny, nie jest jakoś pasjonujący, z czego sam autor kpi pod koniec książki w naprawdę niezły sposób.

Ale co jest prawdziwym wątkiem głównym? No cóż... Geraltowi ukradziono miecze. Obydwa. Co gorsza, "tajemniczy złodziej" ma zamiar sprzedać je na aukcji w Novigradzie, a naszemu bohaterowi nawet się nie śni wracać do Kaer Morhen bez swoich mieczy. To jest wątek najważniejszy, bo wszystkie inne właśnie z niego wynikają. Spośród tych różnych wątków przede wszystkim wyróżnia się polowanie na "demon" podczas pobytu w Rissbergu, zamku magów, w którym eksperymentują na organizmach, próbując je zmutować do swoich potrzeb.

Wbrew pozorom, Sezon Burz jest jednym opowiadaniem. Mno-

gość wątków może się wydawać na początku nieprzemyślana i chaotyczna, ale wszystko zostaje ładnie wyjaśnione w samym zakończeniu. Poza wymienionymi wcześniej mamy spisek koronacyjny, problemy prawne, niezbyt uczciwych przedsiębiorców, podróż żeglarską oraz spotkanie z aguarą (wyglądające jak lis stworzenie przybierające ludzką



postać, obdarzone wielką mocą magiczną) oraz jeden krótki wątek wojenny.

Sezon Burz dzieje się już po spotkaniu Geralta z Yennefer i jest dokładnym prequelem do opowiadania "Wiedźmin" (jedną z ostatnich scen jest podróż Geralta do Wyzimy po usłyszeniu wieści o strzydze). Dzięki temu nie jest zaburzona chronologia opowiadania, ale z drugiej strony Geralt został pozbawiony jednej z cech, za którą wielu czytelników go kochało. A mianowicie wiedźmin jest znacznie młodszy, przez co, o zgrozo, przestał marudzić! W trakcie czytania naprawdę brakowało mi typowego dla Geralta zrzędzenia o tym, jak bardzo wszystko jest do dupy. Reszta postaci się w sumie nie zmieniła, Jaskier nadal jest optymistą o średnim pomyślunku, mamy krasnoluda, który dziwnie przypomina Zoltana (autor nie omieszczał nawiązań do tego) oraz Yennefer. Tak, proszę państwa, pojawia się. Może nie na długo, ale jej rola jest

w sumie dość istotna dla fabuły.

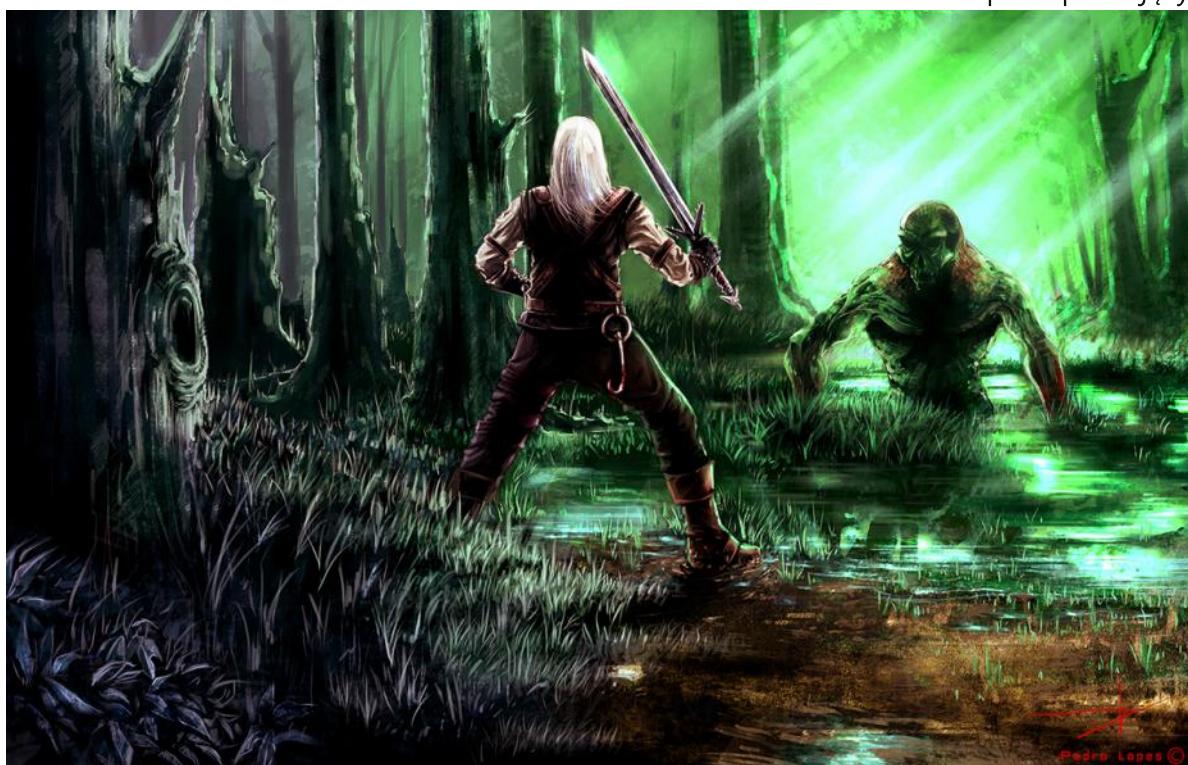
A co poza tym? Mamy bardzo soczyste sceny walki, mamy barwny język i celne docinki, przemyślenia Geralta może nie równe filozofom, ale niosące wiele mądrości oraz wielką liczbę nawiązań do naszego rzeczywistego świata od "wypisywania za dużej pensji na fakturze" do "uprzedzeń" i "roli kobiety w małżeństwie" wraz z aborcją. Sapkowski, pisząc starodawnym językiem, przedstawia nam problemy bardzo współczesne i bardzo aktualne.

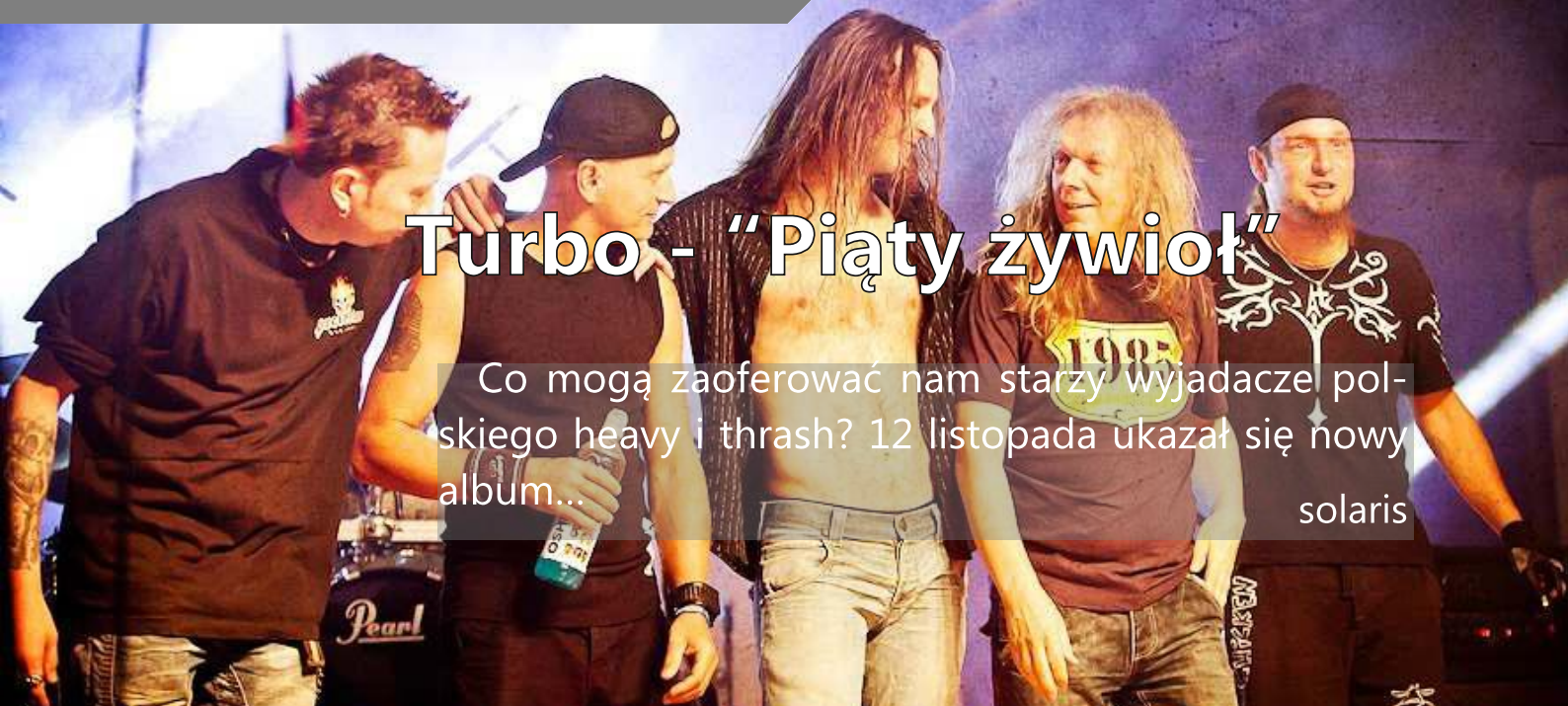
Wielką zaletą Sezonu Burz jest ciągle puszczenie oka do fanów pięcioksięgu oraz ciekawie umiejscowiona autoironia. Nie ma nic piękniejszego niż Sapkowski najpierw wyśmiewający pewne pomysły na rozwiązywanie akcji w fantasy, by stroną później właśnie to zrobić. Autor próbuje również podejść do pewnych motywów w zupełnie inny sposób niż wcześniej (najlepszym przykładem jest tutaj pojawiający się epizo-

dycznie wilkołak).

Mamy również zakończenie. Naprawdę... ciężko o nim cokolwiek napisać. Sapkowski zdawał sobie sprawę z tego, że nieco pokazał środkowego palca fanom zakończeniem pięcioksięgu. Tutaj widać próbę wyjaśnienia, może rozgrzeszenia z tej sytuacji. W efekcie nadal nie poznaliśmy odpowiedzi na żadne pytanie, ale teraz z tym zakończeniem czuję się lepiej. Jest dość optymistyczne i niesie ze sobą kilka prawd, które naprawdę warto zapamiętać.

Podsumowując, Sezon Burz to bardzo udane dzieło Andrzeja Sapkowskiego, wspaniały powrót po tragicznej Żmii. Jednak czy Sezon Burz jest lepszy niż opowiadanie, jakie poznaliśmy z "Ostatnim Życzeniu" oraz "Mieczu Przeznaczenia"? To kwestia bardzo dyskusyjna. Osobiście uważam, że niezależnie od swoich wad, jest to absolutny must-have dla każdego fana Geralta z Rivii oraz nie takie złe dzieło dla dopiero poznających to uniwersum.





Turbo - "Piąty żywioł"

Co mogą zaoferować nam starzy wyjadacze polskiego heavy i thrash? 12 listopada ukazał się nowy album...

solaris

Okazuje się, że nie przynosi on rozczarowania. To powrót Turbo do korzeni, do starego dobrego heavy po latach eksperymentów z prog czy thrash metalem. Gwoli wyjaśnienia kim jest zespół Turbo - to legenda polskiego metalu prosto z Poznania. Zachowując odpowiednie proporcje, to takie polskie Iron Maiden.



Nowa era zaczęła się w roku 2007, kiedy z zespołu odchodzi wokalista i jeden z założycieli, Grzegorz Kupczyk. Jego miejsce zajmuje mało znany rockowy wokalista Tomasz Struszczyk. Do tej pory miał na koncie wydany tylko jeden album i nagle musiał się

zmierzyć z legendą polskiej sceny metalowej i porównywaniem go do współpracującego obecnie z CETI Kupczyka. Pierwszy album ze Struszczykiem, wydany w 2009 roku *Strażnik światła*, był dość solidny, choć nie obyło się bez nużących eksperymentów. Dlatego też z pewną obawą wyczekiwałem pojawienia się *Piątego żywiołu*. Zupełnie niepotrzebnie. Zwłaszcza, że świetnie sobie radzi ze starymi utworami, na przykład z kawałkiem *Ostatni Grzeszników Płacz*, który zespół zagrał 16.11.2013 roku w Proximie jako support rosyjskiej Arii.

Może nie pretenduje on do bycia nową *Kawalerią Szatana*, ale nie jest też przekombinowaną pomyłką, o której trzeba by zapomnieć, jak na przykład *Ostatni wojownik* czy *Epidemie*. Zacznijmy od:

Myśl i Walcz

Otwieracz często determinuje, jak odbieramy całą płytę, dlatego jest taki ważny. Tutaj mamy solid-

ną porcję szybkich riffów, które wręcz wylewają się z głośników, linia perkusyjna wgniata w fotel, a szorstki wokół Struszczyka idealnie się wkomponowuje w melodię.

Cień wieczności

Tutaj największym zaskoczeniem było to, że... tekst jest typowym erotykiem, którym okazuje się być dopiero w drugiej części utworu. Generalnie według mnie najlepsza piosenka na płycie, dlatego dostaje on gwiazdkę, którą oznaczam hit danego albumu.

Serce na Stos

I kolejny utwór traktujący o miłości (niby troszkę dużo jak na zespół metalowy, huh?), ale okazuje się, że można stworzyć też wyznanie miłosne w wersji metalowej i to się broni, naprawdę! Znowu na uwagę zasługuje świetna praca perkusisty, Mariusza Bobkowskiego i wysmienita wręcz solówka.

Piąty Żywiół

Czas na utwór tytułowy. Zaczyna się powolutku i balladowo, tekst jest jednym z ciekawszych na płycie, zaś Struszczyk bardzo sugestywnie potrafi go przekazać. Następnie mamy w maidenowskim stylu przyspieszenie tempa, by na końcu utworu znowu je zwolnić.

Przebij Mur

Co prawda tekst tutaj jest krótki, ale mocny, wręcz powiedziałbym protest song, nasuwa mi skojarzenia z utworem rosyjskiego zespołu metalowego Aria *Встань, страх преодолей* (*Wstań, strach przeodoliej - Wstań, pokonaj strach*). Tam w efekcie końcowym nawołuje się do "sięgnięcia ręką do gwiazd", zaś u Turbo woła do słuchacza "sięgnij dłonią chmur".

Garść Piasku

Nie mogło zabraknąć utworu o przemijaniu, choć "Strażnik światła" był albumem o życiu człowieka od narodzin do śmierci, to jednak zespołowi wciąż zostały dobre pomysły z tym motywem.

Niezłomny

Tutaj nic nie jest ważne, tak jak ważne jest porywające solo duetu Wojciech Hoffman - Dominik Jokieli. No i znowu mamy zmiany tempa kawałka, widać, na kim się wzoruje Turbo i nie jest to bynajmniej wzornictwo wtórne.

Amalgamat

Instrumental na płycie, szybkie, mocne granie. Choć zdaje mi się, że perkusista trochę zagłuszył gitarzystów i z pewnym trudem

przebijają się przez skądinąd świetnie dysponowanego Bokowskiego, no ale nie może być zawsze idealnie, prawda?

Rozpalić Noc

Świetny utwór na koncerty, idealne do pogo, żywiółowe, szybkie, melodyjne zwrotki. No i ten chór w tle... Poza tym kolejna świetna solówka Hoffmana. Tak, ten kawałek ewidentnie robi na koncercie to, o czym mówi w tekście:

*Razem więc obudźmy dziś tę noc
Ścianą dźwięku co rozpali noc
Gardel sto złączonych w jeden głos
I rozgrzanych ciał szalony stos*

This War Machine

Kawałek po angielsku, generalnie nie lubię, gdy zespoły nie grają w języku ojczystym, bo najczęściej im to po prostu nie wychodzi. Tutaj jednak Struszczyk daje czadu, widać, że język Szekspira poznał w stopniu umożliwiającym śpiewanie bez bólu dla uszu. No i ten wokół, nasuwający skojarzenia z Judas Priest czy Grave Diggerem...

Może Tylko Płynie Czas

Ostatni utwór, czy zostawia dobre wrażenie?


Wg mnie idealnie pasuje, podoba mi się zwłaszcza klamra tekstowa, spinająca początek i koniec utworu. Właściwie utwór końcowy to esencja tego,

co jest na albumie - zwolnienia, przyspieszenia, świetny tekst, wyśmienita praca perkusji, solówki na wysokim poziomie, szorstki głos Struszczyka, przechodzący wręcz niekiedy przy krzyku w falset!

Czy warto kupić ten album i dodać do kolekcji? Na pewno! Na pewno chłopcy z Turbo, gdyby wydali wersję anglojęzyczną kawałka, nie mieliby się czego wstydzić na Zachodzie, widać w ich utworach coś zarówno słowiańskiego, jak i zachodniego. Byłoby to dla zachodnioeuropejskiego słuchacza interesujące doświadczenie. Oryginalną płytę można dostać w śmiesznej cenie ok. 33 złotych, niezbyt dużo jak na nowe wydawnictwo na polskim rynku. No i "Piąty żywiół" uplasował się na 48. miejscu OLiS, które zwykle jest zalane przez popowy szajs albo odgrzewane kotlety-reedycje. Ocena? 10/10, spokojnie ta płyta może stać obok legendarnych albumów Turbo.



Czyli wybielanie białego po rosyjsku



Ostatnimi czasy polskie kino historyczne znacznie podupadło. Po słabym "1920 Bitwa Warszawska" otrzymaliśmy beznadziejną koprodukcję włosko-polską, "Bitwę pod Wiedniem".

Gandzia

Przyznam szczerze, że nie znam przyczyn tego kryzysu: czy jest to brak funduszy, czy też może powodem jest ogólna słabość współczesnej polskiej kinematografii? Na razie zostawmy jednak tę kwestię i zobaczmy, jak na polu przenoszenia historii na srebrny ekran radzą sobie na wschodzie.

Wydany w 2008 roku "Admirał" w reżyserii Andrieja Krawczuka przybliży widzom sylwetkę admirała Kołczaka, jednego z przywódców walczących z bolszewikami białych. Materiał na fabułę był przedni, lecz niestety reżyser musiał zmieścić się w dwugodzinnym filmie, stąd w "Admirale" przedstawiono jedynie wydarzenia z lat 1916–1920. Należy przy tym pamiętać, że film jest melodramatem, więc dużą rolę odgrywa tu wątek miłosny między granym przez Konstantina Chabienskiego Kołczakiem a Anną Timiriową (Jelizawieta Bojarska). Mamy więc wojnę, romans i tragedię – teoretycznie taki

mieszmasz daje duże szanse na hit, jednak Hoffman udowodnił, że jest inaczej. Jak zatem poradzili sobie Rosjanie?

Muszę stwierdzić, że nienajgorzej. Aktorzy odwalili kawał rzemieślniczej wprawdzie, jednak solidnej roboty. Bohaterów można z łatwością polubić, rewolucjonistów można z łatwością zniechęcić i jedynie jedna postać momentami wydaje się nijaka. Znośnie spisali się też specjaliści od efektów specjalnych, których pracę możemy oglądać w czasie scen batalistycznych.

Właśnie, sceny batalistyczne, czyli coś, co w filmie o wojnie domowej w Rosji znaleźć się musiało. Krawczuk i jego ekipa mają u mnie cydr, gdyż o ile pierwszej bitwie można zarzucić przekręcanie historii i zbytne uwypuklenie bohaterstwa Kołczaka, zaś druga jest skandalicznie krótka – nawet biorąc pod uwagę fakt, że walki w "Admirale" z konieczności są krótkie – to już z każdą kolejną za-

dowolenie widza rośnie. Można wręcz śmiało stwierdzić, że sceny z udziałem generała Kappela i jego podwładnych są najlepszą częścią filmu!

Jeśli zaś chodzi o wątek miłosny, to... cóż, przynajmniej nie przeszkadza. Nie chodzi o to, że jest zły, lecz o to, że przez znaczną część filmu rozwija się tylko przez recytowane z offu listy, co nie pozwala mu na rozwinięcie skrzydeł. Tym niemniej jeśli ktoś lubi wątki romansowe, to niezadowolony z seansu nie wyjdzie.

Oczywiście "Admirał" nie jest pozbawiony wad, ba, są to zarzuty poważne. Tempo filmu jest nierówne; do tego należy dodać skrócenie wielu scen, będące niejako efektem potrzeby stworzenia czegoś, co trwa dwie, nie dwadzieścia dwie godziny, jednak problem ten sięga głębiej. Ograniczenie długości filmu może być przyczyną zbyt chaotycznego przechodzenia z jednej sceny do drugiej. Pominięte zostały również

niektóre wątki z biografii Kołczaka – usunięto między innymi wszystkie ciemne plamy na jego życiorysie, przez co admirał wydaje się być lepszym człowiekiem, niż był w rzeczywistości. Czego jednak spodziewać się po filmie ponoć współfinansowanym przez rosyjskie ministerstwo kultury...

Również i strona techniczna filmu momentami kuleje. Tyczy się to zwłaszcza bitew morskich, w których niepotrzebnie zastosowano patent z trzęsącą się kamerą. Z kolei muzyka w pewnej kwestii przypomina tę z "Avatara" – pomaga wprowadzić w klimat filmu, jednak zbyt szybko się o niej zapomina.

Z początku spodziewałem się, że dużo zarzutów zbierze się wobec osób odpowiedzialnych za scenografię i kostiumy, jednak myliłem się, tym bardziej że w tej drugiej kwestii Rosjanie są prawdziwymi ekspertami (co by nie mówić, to ich przedstawienie naszej husarii jest najbliższe prawdy). Czy mowa o eleganckich sukniach i mundurach carskiej floty, czy też o strojach zrewoltowanych marynarzy – wszystko zostało odwzorowane z dbałością o detale. Jedynymi rzeczami, których można się czepić, są lokomotywy z innej epoki i współczesna flaga jednego z państw zamiast ówczesnej – nie napiszę którego, bo i tak tego nie zauważycie.

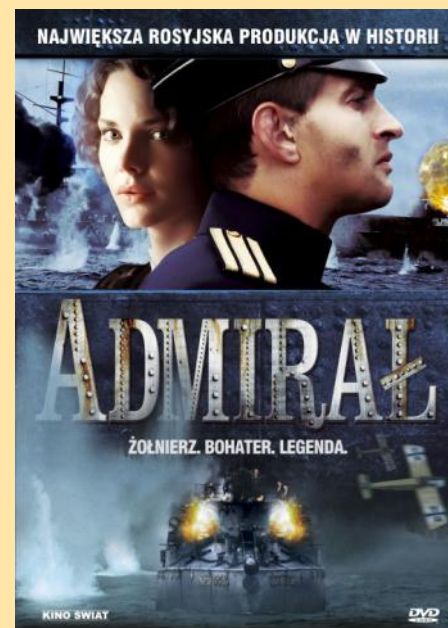
Za to z pewnością kilkoro z Was stwierdzi, że ostatnia scena "Admirała" dziwnie przypomina pewien amerykański film. Nie wiem, czy imć Krawczuk przed pójściem do pracy naoglądał się za dużo "Titanica", czy też może

zbieżność jest przypadkowa. Czy jest to jednak wada? Polemizowałbym.

Jak więc należy ocenić "Admirała"? Nie jest to film zły; śmiem nawet twierdzić, że gdyby w Polsce nakręcono coś na zbliżonym poziomie o, powiedzmy, bitwie pod Chocimiem, to cała prasa krajowa trąbiłaby o hicie. Jednakże Krawczuk mimo faktu, że dysponował solidnym budżetem, zdolnymi aktorami i poparciem władz – rzecz w Rosji bardzo ważna! – nie stworzył dzieła wybitnego. "Admirał" jest filmem dobrym, który jednak poważnie cierpi z powodu nierównego tempa akcji i konieczności skrócenia go do dwóch godzin. Z tego też powodu należy mu się mocne 6/10, w porównaniu 7/10. Lecz po seansie wyłączamy DVD, włączamy telewizor...

... a tam "1920 Bitwa Warszawska". I nagle nachodzi nas ochota na ponowne obejrzenie filmu o admirałach Kołczaku.

PS. Jak donosi niezawodny Internet, w rok po premierze "Admirała" rosyjska telewizja wyemitowała dziesięcioczęściowy serial, będący swego rodzaju rozwinięciem wersji kinowej (podobny patent zastosowano w wypadku naszego "Ogniem i mieczem"). Oznacza to, że zarzut, iż film jest za krótki mógł się zdezaktualizować, jednak nie udało mi się dotrzeć do telewizyjnej wersji "Admirała", stąd nie mogę tego sprawdzić. Jeśli jednak moje przypuszczenia są prawdziwe, możecie śmiało dodać do oceny jedno, może dwa oczka.



Admirał

Gatunek: historyczny, melodramat, wojenny

Rok premiery: 2008

Kraj: Rosja

Reżyseria: Andriej Krawczuk

Scenariusz: Zoja Kudria, Władimir Wałucki

Obsada: Konstantin Chabienski, Jelizawieta Bojarska, Siergiej Bie-zrukow, Anna Kowalczuk i inni

Siewczyni niezgody

[Slice of Life] [Comedy] [Random]

Autor: Hoffman

Kolejny słoneczny dzień w... Zgadnijcie gdzie! W Ponyville! Tak, tutaj zawsze jest słonecznie, wszyscy są mili i pogodni, żadnych trosk nie mają, po prostu idylla przez cały rok! Słyszysz radosne śmiechy źrebiąt? A może pozbawione stresu, żywe konwersacje dorosłych? Czujesz w powietrzu ten nieskazitelnym klimat wszystkiego co najlepsze? No to jesteś w Ponyville. Dlaczego to miasteczko nie zwie się Clichéville? Ano dlatego, że na tym niby idealnym obrazku od czasu do czasu pojawia się skaza.

Tego dnia nie było słycać śpiewu ptaków, a w powietrzu niewątpliwie coś wisiało i tym razem nie był to smród krowiego łajna i zepsutego mleka, pochodzący z farmy Apple. O właśnie, tego dnia pomarańczowa farmerka była bardzo zadbana, co było u niej dosyć nietypowe. Wypinając pierś i dumnie zadzierając nosa, Applejack kłusowała sobie po miasteczku i pozdrawiała napotkane kucyki.

– No cześć, głupia babo! Yup, wyglądasz jak moja ciotka, gdy jeszcze miała wąsy! Nie bierz tego do serca kochana, tylko mówię!

Szczera do bólu, jak zwykle, a do tego przyprawiona o zdradziecki uśmiech na twarzy. Co ja mówię, z tym delikatnym „płomieniem” w oczach wyglądała wręcz... Intrygująco. Czyżby związała się z jakimś ogierem? Na litość, kto mógłby być aż takim desperatem? Oho, zatrzymała się. Zaczęła się rozglądać, zupełnie jakby kogoś szukała. Czyżby to był ten jedyny frajer, to znaczy, ogier?

– Ej, narrator! Jeszcze jeden taki tekst i cię znajdę, a jak cię znajdę, to będziesz wyglądał gorzej, niż mój prapradziad, którego dorwały bizony podczas durnego zlotu bardów! Appleloosa dla rodziny Apple!

Przemówiła do mnie! Cóż, szkoda, że wyglądało to tak, jakby mówiła do siebie. Niemniej jednak, kilka ostrych słów w stronę gapiów starczyło, by się ich pozbyć. Ta klacz ma w sobie ogień, ale chyba nie zdaje sobie sprawy, że jestem nie tylko wszechwiedzący, ale także nietykalny!

Przechodząc do rzeczy, Applejack kłusowała sobie i kłusowała, aż natknęła się na swą drogą przyjaciółkę, szykowną i elegancką, będącą obiektem westchnień wielu naiwnych ogierów, jedyną i niepowtarzalną Rarity. Alabastrowa klacz od razu zauważyła nowy styl farmerki.

– Witaj, złociutka! Cóż widzą moje piękne oczy? Nareszcie zaczęłaś wydobywać z siebie wdzięk i eksponować atuty. Lepiej późno niż wcale.

– Nah, tylko rozpuściłam grzywę. Nic wielkiego – odparła z pewnością siebie Applejack. – Lepiej powiedz, ile centymetrów tapety nałożyłaś na siebie tym razem? Dwa? Trzy? Rany, twój następny kochaś będzie musiał przebyć długą drogę, zanim się do ciebie „dobierze”.

– Słucham? Jaki „kochaś”? Applejack, udam, że tego nie słyszałam! – zdenerwowała się Rarity.

– Przypominasz mi przetworzone, przeterminowane piwo! Yup, niby masz właściwy kolor i smak, ale i tak nie będziesz tak dobra, jak naturalny, świeżutki cydr. Do zobaczenia, nie bierz tego do siebie, tylko mówię!

I tak Applejack zostawiła sfrustrowaną i rozdartą jak prześcieradło Rarity w samym środku głównego placu

miasteczka. Ostra była. Kilka minut po nieprzyjemnej rozmowie z alabastrową projektantką mody farmerka napotkała cierpiącą na manię prześladowczą opiekunkę wszystkiego, Fluttershy.

- No i jak się masz, trzęsidupo? Co jest z twoimi ptakami?
- Och, Witaj... Um... Dlaczego mnie tak nazywasz? – zapytała zaskoczona zachowaniem przyjaciółki klacz.
- Czekaj, niech się zastanowię... Droga koleżanko, boisz się dosłownie wszystkiego! Pewnie zaraz po narodzinach zwiłaś rodzicom, bo się przestraszyłaś! – zakpiła sobie Applejack.
- A-ale...
- Co jest grane z ptakami? Dlaczego nie śpiewają? Co im zrobiłaś, zoofilko jedna?
- A-Applejack... – wyjąkała przez łzy Fluttershy. – Dlaczego tak mnie nazywasz? C-co ja ci zrobiłam? T-to chyba jakiś koszmar...
- I znowu beczysz! Na litość, Applebloom ma większe jaja od ciebie!

Co za cios! W kilka sekund Fluttershy zalała się łzami i uciekła. Applejack prychnęła dumnie, po czym pozwoliła wietrzykowi potargać swą piękną, rozpuszczoną grzywę. Farmerka pewnie ruszyła przed siebie i odwiedziła jeszcze Pinkie Pie i Twilight Sparkle, po drodze wpadła na Rainbow Dash. Nawet ta ostatnia nie była w stanie zgasić tego wewnętrznego „płomienia” farmerki. Tym razem to Applejack miała o dwadzieścia procent więcej wszystkiego.

Zanim całe Ponyville pogrążyło się w niezgodzie, pomarańczowa klacz zdążyła dotrzeć do lasu za miastem. Radośnie pokłusowała w stronę dwóch kruczoczarnych istot o wielkich ślepiach i owadzych skrzydełkach, po czym głośno i szyderczo się roześmiała. Klacz ogarnęła seledynowa aura, ona sama zaś w kilka sekund urosła, dostała skrzydeł i krzywego rogu. Jej sierść szcerniała, a grzywa zzieleniała.

- Ciekawe, jak ona się z tego wytłumaczy! – krzyknęła tryumfalnie królowa Chrysalis, siewczyni niezgody.

Chyba jednak nie jestem wszechwiedzący...



Autor komiksów: Pony Berserker

Opracowanie graficzne: MLO

Tłumaczenie: Dolar84





PYSZNOŚCI!

Autor: Pony-Berserker



pony-berserker.deviantart.com

TWILIE NA RATUNEK!

Autor: Pony-Berserker



pony-berserker.deviantart.com



Masz dryg do pisania, lubisz malować wirtualnym pędzlem, a może masz inny specjalny talent.

Dołącz do redakcji MENAzette.

Zapewniamy... No w sumie to nic nie zapewniamy, bo nic z tego nie mamy Ale i tak dołącz :) Więcej informacji w [poście na forum](#).